

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 6 stycznia 1917. Nr. 1.

Na progu Nowego Roku.



OD WYDAWNICTWA.

Na przełomie dziejów, wśród krwawych blasków pożogi wojennej, z której wyłoniła się wreszcie jutrzenka Niepodległej Polski — rozpoczynają „Nowości Illustrowane“ czternasty rok swego wydawnictwa... Wielkie chwile, jakie przeżywamy, wkładają na nas wielkie obowiązki, tem większe, że „Nowości Illustrowane“ są **jedyną na ziemiach polskich illustracyą chwili bieżącej...**

Nie goniąc za łatwymi sukcesami zewnętrznej doskonałości, co można było osiągnąć przez korzystanie z obcych źródeł illustracyjnych, będziemy nadal starać się przedewszystkiem

o illustrowane zobrazowanie dziejowych wydarzeń w Polsce.

Nie szczędząc trudów i kosztów, uczynimy też wszystko, aby w „Nowościach Illustrowanych“ znalazł możliwie najpełniejszy **i najwierniejszy, bo illustrowany wyraz,** dziejowy moment

tworzenia państwa polskiego i armii polskiej.

To jest ideał, który będzie nam przyświecać w pracy, w przełomowym dla narodu polskiego roku 1917... Wiemy, że w naszych warunkach wydawniczych czekają nas niezliczone trudności, piętrzące się z powodu braku najpotrzebniejszych materyałów technicznych i personalu, nie wątpimy jednak, że poparcie, jakiego nie szczędziły nam dotychczas szerokie koła naszego społeczeństwa, pozwoli nam wytrwać na posterunku i wypełnić — z pożytkiem dla ogółu — nasze zaszczytne, lecz trudne zadanie. Tego poparcia — przez jednanie nam nowych Czytelników — mamy prawo oczekiwać, zwłaszcza dziś — gdy wielka chwila dziejowa wkłada na nas nowe a tak trudne obowiązki.

Pomimo wzrastającej wciąż drożyzny, „Nowości Illustrowane“ będą wychodzić w roku obecnym na tych samych, jak dotychczas, warunkach. Postanowiliśmy nadto upamiętnić obecną chwilę dziejową, jaką przeżywamy,

Bezpłatnem premium.

Każdy z Prenumeratorów, który nadeśle przedpłatę na cały rok 1917, otrzyma **bezpłatnie** Kalendarz „Nowości Illustrowanych“, wydany na rok 1916, a stanowiący

Księgę pamiątkową wielkiej wojny,

która zawiera **illustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski.**

Na przesyłkę Księgi pamiątkowej należy nadesłać 50 halerzy.

Ktoby posiadał już Księgę pamiątkową, może otrzymać w zamian niej jako premium

„Wnętrze Katedry na Wawelu“

trójbarwną, artystyczną reprodukcyę **obrazu znanego artysty W. Wodzinowskiego.** — Na przesyłkę obrazu należy również nadesłać 50 halerzy.

Przypominamy przytem, że prenumerata wynosi obecnie wraz z przesyłką pocztową: **rocznie 20 K, półrocznie 10 K, kwartalnie 5 K.** — Upraszamy również o rychłe nadesłanie przedpłaty, kto bowiem jej do 10. b. m. nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Na progu Nowego Roku.

Już po raz trzeci wstępujemy w sfinksowe wrota Nowego Roku wśród krwawej pożogi, jakiej nie było na ziemi. Poraz trzeci przesuwa się wskazówka na zegarze dziejów, przy odgłosie „wojny narodów“. Dziś jednakże staiemy na progu Nowego Roku z tą wiarą i nadzieją, że właśnie ten rok przyniesie nam upragniony pokój, a wraz z nim to, bez czego nie można pomyśleć trwałego pokoju: wskrzeszenie niepodległej Polski!

Wprawdzie walka toczy się jeszcze z niesłabnącą zaciętością, leje się nieprzerwanie krew i rosną wciąż mogiły na pobojowiskach Europy — jednak słowo „pokój“ rozlega się dziś po całym świecie, przenika do serc i dusz ludzkich, unosi się nad pobojowiskami i jest tą gwiazdą przewodnią, ku której wyciągają dłonie wszystkie ludy.



W stolicy Polski: Wjazd Czwartaków do Warszawy. (Fot. A. Dulęba).

Na progu Nowego Roku staje zwłaszcza pełen nadziei naród polski... Rozpoczynamy ten rok, przejęci wielkiem dziełem realizacyi manifestu z dnia 5. listopada — odbudowy państwa polskiego!... Rozpoczynamy ten trzeci rok najkrwawszej w dziejach pożogi wojennej wprawdzie wśród zgliszcz i mogił ziemi polskiej, ale już nie w mrokach niepewności, nie w błędnym chaosie ubocznych celów. „Niepodległa Polska“ — oto hasło, oto gwiazda przewodnia narodu polskiego w roku 1917...

A nie przypadkiem tylko ta gwiazda wolności zajaśniała potężnym blaskiem w obliczu całej Europy — pierwej, niż padło słowo „pokój“!... Bo „wojna narodów“ nie może się skończyć pokojem, któryby był nową pieczęcią na grobie Polski!.. Bo ta wojna była przedewszystkiem likwidacyą rozbioru Polski — likwidacyą tej równowagi mocarstw, która opierała się na zbrodni, spełnionej na narodzie polskim. Ta równowaga właśnie skończyła się w roku 1914 kataklizmem, jakiego nie znały jeszcze dzieje... A dziś, gdy na progu 1917 roku Europa zaczyna myśleć o likwidacyi tego kataklizmu, siłą rzeczy występuje na widownię świata widmo zmartwychwstającej Polski...

I dlatego z wiarą i otuchą patrzymy przed siebie. Gwiazda pokoju, która po dwóch z górą latach męki narodów zabłysła nadzieją wśród zakrwawionej ludzkości, dla narodu polskiego musi stać się gwiazdą wolności!

Nie wiemy jeszcze, kiedy nadzieja — stanie się rzeczywistością, a słowo — ciałem. Ale dla dobra umęczonej ludzkości należy pragnąć, aby już rok 1917 spełnił nadzieje, z któremi go teraz witamy, aby stał się rokiem pokoju i wskrzeszenia Polski!

— — — — — — — — — — —

Z tą wiarą i nadzieją wszystkie serca polskie zwracają się dziś ku Warszawie — tam, gdzie za-

mek królewski czeka na swego władcę, a Orzeł Biały zrywa się do lotu! Oby cyfra 1917 roku, która błyszczy tajemniczo nad pełną chwały królewską siedzibą, po wieczne czasy została zapisaną na jej murach, oby przywróciła im dawną świetność królewskiego zamku Niepodległej Polski!



Zgon zasłużonego filantropa: S. p. Adam Chmielowski (Brat Albert).



W stolicy Polski: Józef Piłsudski na poufnej pogawędce w swym numerze hotelowym w Warszawie. Od lewej ku prawej siedzą: Kapitan Stachiewicz, Kasprzycki, Piłsudski, Sokolnicki, Sławek, Wieniawa.

Boże Narodzenie 1916 r.

Wśród pięknych uroczystości, jakie odbyły się po szpitalach krakowskich w czasie ubiegłych świąt Bożego Narodzenia, wyróżniła się niewątpliwie dodatnio gwiazdka urządzona w Zakładzie Helclów, gdzie, jak wiadomo, mieści się od początku wojny szpital wojskowy. Jest to zasługa miejscowych Sióstr Miłosierdzia, z matką przełożoną na czele, które z prawdziwem poświęceniem i głębokiem odczuciem niedoli ludzkiej pełnią swe podwójne obowiązki opiekunek zakładowych i pielęgniarek w szpitalu.. A zadanie to niełatwe. Otoczyć opieką kaleki i starców, znajdujących się już u schyłku życia, jak również nieść pomoc i pociechę rannym i chorym żołnierzom, oderwanym przez wojnę od swych rodzin — to szczytna, lecz uciążliwa misya. Tylko prawdziwa dobroć, szlachetne serce i poświęcenie, pełne zaparcia się wszystkiego dla dobra innych, mogą podołać temu zadaniu, przechodzącemu nieraz siły słabych kobiet.

Pomimo to Siostry Miłosierdzia nie tylko pełnią swe konieczne obowiązki, ale nie szczędzą pracy i trudów, aby w szare życie szpitalne i zakładowe wprowadzić choć promyk radości, a nieszczęśliwym, powierzonym ich pieczy, zastąpić ciepło ogniska rodzinnego.

Taki charakter miała też gwiazdka w Zakładzie Helclów, gdzie oprócz pięknie przybranych choinek, urządzono misternie i z prawdziwie artystycznym smakiem Żłóbek, przy którem odbyło się niezwykle miłe i sympatyczne przedstawienie. Dzieci, sieroty wojenne, pozostające pod opieką Sióstr Miłosierdzia, odegrały mianowicie „Betleem wojenne", napisane przez siostrę Anielę. Utwór ten, napisany pięknym językiem, z głębokiem odczuciem tak doniosłej dla narodu polskiego chwili, nie pozbawiony głębszych akcentów patryotycznych i społecznych — wywarł na widzach silne wrażenie. A trzeba tu było podziwiać nie tylko pracę literacką autorki, ale przedewszystkiem pracę nad opuszczoną dziatwą, która pod ciepłym podmuchem macierzyńskiej opieki Sióstr Miłosierdzia z widocznem zamiłowaniem oddawała się tej szlachetnej i umoralniającej rozrywce, deklamując i „grając" swe role.



Boże Narodzenie 1916 r.: Mali wykonawcy „Betleem wojennego" w zakładzie Helclów w Krakowie.



W stolicy Polski: Komendant Legionów hr. Szeptycki odpowiada na powitanie prezesa warszawskiej Rady miasta, rektora Brudzińskiego. (Fot. Dulęba, Warszawa).

„Betleem wojenne", które także pod względem kostiumowym zostało doskonale przygotowane, odegrano dwukrotnie: w sobotę, dnia 23. grudnia dla żołnierzy (w obecności władz szpitalnych i lekarzy) i w niedzielę dla pensyonaryuszy zakładu Helclów. Zarówno żołnierze, jak i pensyonaryusze zakładowi z zadowoleniem opuszczali salę, pełni wdzięczności dla swych opiekunek, które w ciężkiej pracy nie zapomniały i o stronie duchowej ich życia. „Betleem wojenne" pozostanie na długo w ich sercach jako miłe wspomnienie i obraz Bożego Narodzenia w pamiętnym roku 1916.

Ze świąt.

We wszystkich szpitalach wojskowych w Krakowie obchodzono uroczyście święta Bożego Narodzenia. Przy tradycyjnem drzewku, w serdecznem nastroju, odbyły się uroczystości gwiazdkowe, podczas których rozdano chorym i rannym żołnierzom upominki, przesłane przez c. i k. Komendę twierdzy.

Uroczyście i pięknie wypadła zwłaszcza „gwiazdka" w szpitalu fortecznym Nr. 8, objekt 3 (w gmachu Starego Teatru). Jest to zasługa organizatorek uroczystości pp.: bar. Błażowskiej, majorowej Chorążyny, hr. Małachowskiej i panny Krysiakówny. W szpitalu tym „gwiazdka" odbyła się w obecności lekarza sztabowego Kostjala, ks. kapelana Gedza, Dra Zlamala, nadporucznika Hradecznego, porucznika Cięciały, pp. Dworzańskiego, Jagiłłowicza i innych gości. W czasie uroczystości przy tradycyjnem drzewku śpiewał kolendy chór pielęgniarek, który zorganizowała p. majorowa Chorążyna.



Jaskółki pokoju: Prezydent Stanów Zjednoczonych W. Wilson.

Oprócz tej oficyalnej uroczystości, szczerą radość wśród 160 przeszło chorych i rannych szpitala wywołało drugie drzewko, zawieszone łakociami a urządzone w drugiej sali staraniem p. H. Krysiakówny.



Królewskie odwiedziny: Król bawarski Ludwik III. (×) ze świtą przed konsulatem niemieckim we Lwowie.

Czwarty mędrzec :: ze Wschodu ::

Powiadają, że w on czas, kiedy na niebie zabłysła gwiazda przedziwnej piękności i blasku, wskazując drogę do Betleem w ziemi Judzkiej, zobaczyło ją czterech mędrców ze Wschodu.

Mędrcy owi zrozumieli, że narodził się Zbawiciel świata, Pan nad Pany przez proroków wieszczony i oczekiwany. Pojęli, iże zstąpił na ziemię w dalekiej krainie w mieście Betleem wedle słów proroctwa: „I ty Betleem, ziemio Judzka, z żadnej miary nie jesteś najpodlejsze między książęty Judzkiemi, albowiem z Ciebie wynijdzie wódz, który będzie rządził lud mój Izraelski.“

Postanowili czterej mędrcy wyruszyć w drogę daleką, aby złożyś hołd Królowi i ofiarować mu dary.

Wyznaczyli sobie miejsce wspólnego spotkania, ale trzej tylko przybyli na umówiony punkt zborny. Czwarty towarzysz spóźnił się. Wybrali się więc ci trzej w podróż bez niego.

Bez szczególnych przygód i przeszkód dotarli do miasta Betleem i znaleźli tam Dzieciątko w żłobie. Jako Panu, cześć Mu oddali i dary złożyli w ofierze: złoto, kadzidło i mirę!

Czwarty mędrzec spieszył także na umówione miejsce, ale w drodze spotkał człowieka, którego rozbójnicy poranili i obrabowali.

Zabiło litością serce mędrca. Jął opatrywać rany onego człowieka, posadził go na swego konia i pocieszał słodkiemi słowy.

Ale poszkodowany płakał wciąż i jęczał:

— Co ja pocznę nieszczęsny!... Niegodziwcy zabrali mi całe moje mienie! Jestem teraz żebrakiem!...

Nagle posłyszał mędrzec głos przesłodki, a jednak tak mocny, jak najsilniejszy nakaz:

— Oddaj mu jeden z klejnotów, które wieziesz dla Króla!

Nie wiedział mędrzec, czy głos ten rozbrzmiewa kędyś poza nim, czy to przemawia jego własne serce, ale słuchać musiał.

Wziął ze sobą dla Pana trzy przecudne kamienie: dyament jasny, jak słońce, rubin czerwony, jak krew i szmaragd, zielony jak morze.

Dobył z sakwy dyament i oddał go obrabowanemu przez zbójców człowiekowi.

Potem odjechał spiesznie, żegnany dziękczynieniami obdarowanego.

Jechał długo... bardzo długo... Gwiazda Betleemska nie gasła i wiodła go, wskazując mu drogę...

Po wielu dniach uciążliwej podróży przybył nareszcie do Betleem, ale nie zastał tam Pana.

Mieścina pełna była rzymskich żołdaków i płaczących matek. Wszędy rozbrzmiewały lamenty i żałosne skargi, bo oto okrutny król Herod wydał rozkaz, że wszystkie niemowlęta umrzeć muszą.

Mędrzec, przejeżdżając ulicami miasta, zobaczył przed jednym z domów młodą niewiastę, która padła na kolana przed żołnierzem rzymskim i błagała o litość dla dziecięcia swego.

Ale żołdak głuchy był wszelkie prośby i powtarzał wciąż uparcie:

— Oddaj dziecko!

Już wyciągał rękę, by wydrzeć dziecię z ramion matki.

— O! Ja nieszczęsna! — jęknęła niewiasta — Czemuż nie mam pieniędzy, ni klejnetów... Może dar bogaty skruszyłby to twarde serce łatwiej, niżeli łzy matki...

Mędrzec posłyszał znowu słodki, łagodny, miłościwy głos:

— Oddaj temu żołnierzowi twój rubin!

Dobył klejnot i oddał go żołnierzowi. Dziecię było ocalonem.

Mędrzec opuścił Betleem, a długo jeszcze rozbrzmiewały za nim dziękczynne słowa i błogosławieństwa uszczęśliwionej matki. Wędrował tak długie lata, prowadzony wciąż przez niegasnącą gwiazdę, która świeciła mu we dnie i w nocy.

Wiodła go gwiazda przez lat przeszło trzydzieści.

Był w Egipcie, w Nazarecie, w Galilei, ale nigdzie nie zastał Pana.

Nareszcie znużony i utrudzony przybył do Jerozolimy i tam jak zwykle pytał o Króla Żydowskiego.

— Tak, jest! — odpowiedziano mu z szyderczym śmiechem — Jest tutaj Król żydowski... Jeśli chcesz zobaczyć ciekawe widowisko, to spiesz się, chodź z nami... Idziemy właśnie patrzeć, jak będzie umierał haniebną śmiercią na krzyżu.

Posmutniał mędrzec i odwrócił głowę.

Wówczas zobaczył smukłego, pięknego młodzieńca, który miał ręce związane.

Młodzieniec rucił się do nóg mężczyźnie o twarzy twardej, surowej i prosił o zmiłowanie.

Winien był temu człowiekowi pewną kwotę pieniędzy, a że zapłacić nie mógł, uprowadzono go w niewolę.

I znowu ozwał się ów głos dwakroć już przez mędrca słyszany:

— Oddaj mu twój szmaragd!

Mędrzec wyjął kamień i obejrzał go. To był ostatni dar, jaki zachował dla pana swego, a jednak oddał go posłuszny wewnętrznemu nakazowi.

Młodzieniec odszedł wolny, płacząc z radości.

Nagle ściemniło się, niebo pokryło się czarnemi chmurami, ziemia zatrzęsła się. Poczęły się walić mury. Jeden z oderwanych kamieni ugodził mędrca tak silnie w głowę, że padł na ziemię.

— Umieram! — zawołał — Nie będę mógł oglądać już oblicza Pana mego! Nie mam już dla niego żadnego daru! Snać nie godzien byłem łaski.

Zaledwie wyrzekł te słowa, dziwnie łagodne jakieś światło rozdarło ciemności i w poświacie ukazała się promienna postać Człowieka.

Długie złote włosy spadały mu na ramiona, oczy jaśniały jak gwiazdy, wyciągnięte ręce były przebite.

Oblicze promieniało mu nieziemską, bezmierną dobrocią. I tym samym słodkim głosem, który po trzykroć ozwał się w sercu mędrca, przemówił:

— Szukałeś mnie, a jestem zawsze z tobą. Cokolwiek uczyniłeś najnędzniejszemu z braci moich, mnie samemu uczyniłeś! *M. J. M.*

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

14

Walczakowa spostrzegła go już także. Podbiegła do wagonu, a za nią pospieszył lokaj dworski, aby wziąć z przedziału walizę gościa.

— Ludwiś!

— Anielka! Jak się masz? Tyle lat! Tyle lat! Cóż u was słychać? Ciocia Krzysia podobno w Szwajcaryi?... Jak że się miewa twój mąż?

— Dziękuję ci, o wiele lepiej! A ty jak się czujesz?... Ależ zmieniłeś się... zmężniałeś, tylko bardzo mizerny jesteś... No, to nic nie szkodzi, odpasiemy cię tutaj, odchuchamy na świeżem powietrzu, na wiejskiem mleku... A cóż u was? Ciocia zdrowa? A Janka, czy bardzo wyrosła? Pisała mi, że chodzi do gimnazyum.

Zanim Ludwik zdążył odpowiedzieć, Anielka spojrzała na Józię, która stała trochę na uboczu ze skromną, układną minką.

— Ach, przepraszam!... Zapomniałam cię przedstawić. Ludwik Łażycki, mój kuzyn — panna Józia Maliniewiczówna — moja przyjaciółka.

Biały kapelusz pochylił się wdzięcznie.

Ludwik zdrową ręką swoją uścisnął podaną sobie małą, ciepłą rączkę... Przez palce jego przebiegło coś, jak elektryczny prąd...

Spojrzeniem wytrawnego znawcy urody niewieściej objął i ocenił w jednej chwili i czysty błękit oczu, w głębi których migotały jakieś figlarne ogniki, i świeżość ust dziwnie ponętnych, jakby do pocałunku wyzywających, i cerę białą, matową, delikatną, i całą postać kształtną, gibką, a okrągło zarysowaną. Odczuł, że dziewczyna ta ma w sobie niepokojący urok, napoły dziewczęcia naiwnie zalotnego, a napoły dojrzałej kobiety, świadomej swych czarów.

— Dyabelnie ładna buzia — pomyślał — to pięknie ze strony Anielki, że ma taki dobry gust w wyborze przyjaciółek...

— Chodźmy — nagliła Walczakowa. — Powóz czeka...

Kiedy Ludwik usadowił się w powozie naprzeciw pań, spojrzał znowu uważnie na Józię.

Dziewczyna uśmiechnęła się leciutko, prawie niedostrzegalnie. Tylko kąciki ust jej drgnęły, ale oczy roześmiały się bardzo wyraźnie.

— Oho! Umiemy kokietować i to dobrze — zadecydował Ludwik. — Coś mi się zdaje, że ta aksamitna koteczka ma dobrze schowane, ale bardzo ostre pazurki...

ROZDZIAŁ IX.

Nauczyciel w Zalesinkach, Władysław Michnik, zjadł pospiesznie swój skromny obiad, składający się z kwaśnego mleka, kromki żytniego chleba i ziemniaków, okraszonych słoniną.

Wziął słomkowy kapelusz, niepewny już świeżości i wyszedł z mieszkania, kierując się polną drogą w stronę dworu.

Zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, zatrzymał go chłop, stary już, ale jeszcze bardzo czerstwy mężczyzna.

Chłop ukłonił się z przyjaznym uśmiechem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odparł młody nauczyciel — macie do mnie jaki interes, Zawada?

— Juści, że mam... Zenię się, to i chciałem prosić, żeby mi pan nauczyciel był za świadka... Będzie to dla mnie wielki honor...

Zawada mówił wprawdzie, że będzie to dla niego „wielki honor“, ale w głosie jego brzmiała tylko przyjazna prośba, bez żadnej uniżoności.

— Co? Zenicie się? — zdziwił się Michnik. — A z kim?

— A z Maryną z Pazdurówki.

— Zmiłujcie się, Zawada, taka młoda dziewczyna!

— To i co? Nie wie to pan nauczyciel, jako powiadają: „Dziewka się rodzi, chłop za pługiem chodzi, a jeszcze mu się godzi“... Teraz w tym czasie wojny, to dziewki okrutne na chłopów łase, bo nima z czego wybierać... Jeszcze jak dobre gospodarstwo jest, każda poleci, choćby jej szesnaście roków było... A ja ta choć nie dzisiejszy, alem jeszcze nie ułomek, nie cbyrlok, niejednego młodego przeskoczę...

Michnik kręcił powątpiewająco głową. Stanęła mu przed oczyma dziewczyna wysmukła, zgrabna, gibka, jak młoda brzoza, z twarzą kwitnącą zdrowiem, bujną młodością, weselem.

— Widzicie, kiedy to zawsze... Za świadka będę wam chętnie, ale...

Niby pan nauczyciel myśli, że to stary młodej baby nie upilnuje, że się jej figlasy i zaloty będą trzymały... No, niechby ta!... Jeszczem ja, dzięka Bogu, krzepki — jakby potrza było, to pięścią abo czem twardszem pomacać zdolę... Jak chłop nadto miętki, to mu baba na łbie kołki czesa, czy on stary, czy młody... Ot, tak i było z Kubą Sojką, choć chłop był młody i zgrabny, jak świeca... U mnie tak nie będzie!...

— No, to szczęść wam Boże! — rzekł nauczyciel, zaniechawszy próżnej perswazyi. — Kiedyż niesiecie na zapowiedzi?

— Ano, jutro... Nie zapomni pan nauczyciel?

— Nie, będę.

— Pozdrówcie Marynę odemnie!

Rozstali się. Nauczyciel poszedł dalej.

Z tonu, jakim Zawada przemawiał do Michnika, wyczuć można było przychylność i zaufanie, z jakiem chłopi nie często odnoszą się do „panów“. Bo też Władysława Michnika nazywano w całej wsi „nasz“, lub „chłopski“ nauczyciel.

Był on jednym z tych, którzy mogą o sobie powiedzieć z poetą:

„Ukochałem biedny lud nad miarę,
Bom się jego pieśnią wykołysał...“ *)

Sam syn chłopa i to dość ubogiego, po skończeniu seminaryum nauczycielskiego, powrócił na wieś. Nie tyle może z pobudek wyższego idealizmu, przejęcia się myślą o apostolskiej misyi nauczyciela wiejskiego, ile dlatego, że pomiędzy chłopami na wsi czuł się najswobodniej i najlepiej.

Miasto przerażało go poprostu swoim zgiełkiem, wrzawą, życiem zbyt bujnem, zanadto ruchliwem.

Instynktownie obawiał się tych łatwych uciech i rozrywek, których tak obficie dostarczają zaułki miejskie. Na posadzkach zaś salonów poruszać się nie umiał i nie chciał nawet.

Była to natura cicha, skromna, prostolinijna, ale głęboka. Umysł miał niezbyt lotny, lecz gruntowny. Czytał powoli — za to każdą książkę przeczytaną przemyślał należycie.

Z warunków skromnego życia, czuł się zadowolony, a pracę swoją ukochał całą duszą.

Nie zasiadał wprawdzie w żadnych komitetach, ani wydziałach, nie przemawiał na wiecach i nie pisywał artykułów do gazet — nazwiska jego nie wymieniały żadne pisma pośród szeregu działaczy oświatowych, ale obowiązki swoje spełniał dobrze,

*) Władysław Orkan.

sumiennie, gorliwie, a nadewszystko chętnie. Nietylko uczył, ale oświecał, pomagał, doradzał.

Chłopa nie idealizował, nie ciągnął na zawrotne wyżyny, ale przemawiał do niego prosto, szczerze i uderzał w zrozumiałe mu struny.

A przedewszystkiem za pracę swoją wytrwałą i gorliwą nie żądał od nikogo wdzięczności.

Na tem tle przychodziło nieraz do sprzeczki pomiędzy Michnikiem a jego kolegami i koleżankami często silnie rozgoryczonymi.

— My oddajemy chłopu wszystko — mówiła pewnego razu młoda nauczycielka — najpiękniejsze lata młodości, zdrowie, siły, energię, pracę, inteligencyę... Zamykamy się w zapadłym kącie, gdzie z konieczności trzeba zaśniedzieć!... A co za to mamy?... Żadnej wdzięczności, tylko szykany, grymasy, dąsy, prześladowania, plotki i obmowy... Na każdym kroku kamienie pod nogi nam rzucają.

— A któż panią tutaj przemocą trzyma? — odrzucił wówczas szorstko Michnik. — Patetyczne ofiary i poświęcenia zbyteczne są w jakimkolwiek zawodzie... To, co się robi, czyni się dla własnego zadowolenia i jakiejś myśli przewodniej... Jeżeli się wytężę trochę ponad szablon, to jeszcze nie powód, żebym miał żądać natychmiastowej nagrody w postaci pochwał, podziękowań, albo... garnuszka masła!

Obrażona koleżanka przerwała rozmowę i od tego czasu nie odzywała się o Michniku inaczej, jak „gbur", „cham"...

Wogóle Michnik nie cieszył się popularnością wśród koleżanek nauczycielek i sam trzymał się od nich z daleka...

Młodsze traktowały go trochę z góry, bo był cichy, nieśmiały, niezgrabny i ubierał się niedbale. Starsze, przeważnie zgorzkniałe i opryskliwe, nie pociągały go wcale.

Pomimo, a może właśnie dla bezinteresowności pracy młodego nauczyciela, chłopi zalesińscy umieli go ocenić... Odczuwali to doskonale, że on nie schodzi do nich, jak „z łaski", ale obcuje jak z równymi, równy tylko mądrzejszy.

Mieszkańcy Zalesinek nagół byli butni i czupurni, lubili się procesować i prowadzić wieczną wojnę z władzą gminną, z proboszczami i nauczycielami.

Michnik jednak zdołał sobie wyrobić taką wśród nich powagę, że ufali mu bezwzględnie.

Jeżeli jakieś dziecko przychodziło ze szkoły z płaczem, skarżąc się, że je pan nauczyciel Michnik ukarał, wówczas ojciec lub matka mówili:

— Pan nauczyciel Michnik cię ukarał?! Toś ty tam musiał dobrze przeskórzyć-... A ty zbereźniku jeden — ino mi becz, to ci jeszcze dołożę!...

Jeżeli to samo przydarzyło się innemu nauczycielowi czy nauczycielce, chłopi gotowi byli wnosić skargę do kierownika, do starostwa, do Rady szkolnej, do ministeryum, do samego „cysorza" nawet.

Równo, jednostajnie płynęły młodemu nauczycielowi dni, wypełnione po brzegi obowiązkiem i pracą. Urozmaicenie życia występowało niekiedy w postaci ostrego starcia z kierownikiem szkoły, zesztywniałym w swojej rutynie biurokratycznej, kiedyindziej znów jako przygodna hulanka lub przelotna, nieciekawa miłostka, po której niesmak zostawał.

Kiedy fala inwazyi rosyjskiej odpłynęła z tych okolic, a do dworu przyjechała Anielka z mężem — Michnik pozyskał miłe towarzystwo.

Kazimierz Walczak prędko ocenił młodego nauczyciela, zaczął go odwiedzać i zapraszać do siebie, toczył z nim długie, ożywione rozmowy i dysputy.

Wówczas to w szarą przędzę życia młodzieńca wplątało się coś zupełnie nowego. Zamigotał mu świetnemi, tęczowemi skrzydłami barwny motyl — piękny kwiat odurzył go swoją upojną wonią.

Władysław Michnik poznał we dworze zalesińskim Józię.

Poznał i zakochał się w niej ślepo, szalenie, bez pamięci.

W piersi tego cichego, spokojnego, zda się, zupełnie zrównoważonego człowieka rozpaliły się żary, które go jęły pożerać — rozbudziły się w nim tęsknoty i pragnienia, których istnienia nie przypuszczał dawniej.

Nie widział nigdy dziewczyny tak pięknej, tak niepokojąco, niezwykle uroczej. Olśniła go swoją pięknością, ujarzmiła kaprysami i kokieteryą, zniewoliła spojrzeniem niebieskich oczu, które umiały patrzyć to łagodnie i jakoś melancholijnie, to znów figlarnie i zalotnie.

Józia wtargnęła w jego życie, jak uosobienie piękna, jak wcielenie kobiecości zwycięskiej i promiennej, a szarpiącej, uroczej, a kapryśnej i zmiennej.

Pierzchnął spokój Władysława, odbiegł go nawet dawny zdrowy sen. Nocami miotał się na swojem łóżku, dręczony palącem pragnieniem, szaloną tęsknotą, a we dnie gonił za Józią, szukał jej, aby ją choć zobaczyć, choć dźwięk głosu jej usłyszeć.

A że to był człowiek o silnej woli i prostej linii życia, więc powtarzał sobie z uporem:

— Ona musi! Musi być moją!...

Przestał się interesować tem, co go dawniej najżywiej zajmowało, zobojętniał na wszystko, co nie było Józią.

Dziesiątki razy chciał już wyznać jej swoją miłość, wypowiedzieć pragnienia, ale Józia wyślizgiwała mu się zawsze to żartem, to śmiechem, to wymijającą odpowiedzią, albo mroziła go nagle i odpychała zimnem spojrzeniem czy ostrem słowem.

Zaczęły się dla Michnika dni cierpienia i udręki, przeplatane krótkiemi chwilami szczęścia, kiedy Józia była w dobrem usposobieniu i raczyła go łaskawie traktować.

Sprytna dziewczyna prędko zrozumiała swoją przewagę i nadużywała tej władzy, bawiąc się uczuciem Władysława, jego nieśmiałością i zakłopotaniem.

W gruncie rzeczy Józia lubiła bardzo młodego nauczyciela. Pomimo płochości swojej, miała w sobie pewien zdrowy instynkt, który ją pociągał zawsze do ludzi dobrych, o wyższej wartości wewnętrznej, a odtrącał od kobiet obłudnych i złośliwych i mężczyzn podobnych Żarnickiemu. Niemniej ta sympatya, jaką powzięła dla Michnika, nie przeszkadzała jej wcale maltretować go i dręczyć nieraz z wyrafinowanem okrucieństwem.

Zręcznie umiała podsycać w nim zazdrość, utrzymywała go w ciągłej niepewności, przerzucała od nadziei do rozpaczy, naprzemian pociągała ku sobie i odtrącała, wabiła spojrzeniem a raniła słowami.

Pewnego razu Józia kaprysami swoimi doprowadziła Michnika do tego, że biedny chłopak wyszedł z pokoju bez pożegnania, zaciskając zęby, aby nie wybuchnąć płaczem.

Obecna przy tej scenie Walczakowa zaczęła Józi robić surowe wymówki.

— Tak się nie postępuje, moja Józiu... Z serca ludzkiego nie robi się zabawki... To jest równie bezmyślne, jak szkodliwe i okrutne... Jeżeli masz dla niego jakie żywsze uczucie, to przestań go dręczyć, jeżeli nie, daj mu to do poznania wyraźnie i stanowczo, ale nie łudź go fałszywemi nadziejami...

Józia, zwykle bardzo czuła na każdą uwagę, tym razem okazała się niewzruszoną. Wyrobiła ona sobie już w tym kierunku swoją własną filozofię.

— Ech! Anielko — odpowiedziała z niedbałym uśmiechem — nie lituj się ty nad mężczyznami. Oni tego nie warci! Każdy z nich zdepcze bez litości serce kobiety oddane mu, kochające, a będzie się włóczył u nóg takiej, która go kopie... Kobiety, które najsilniej kochają, są zawsze najnieszczęśliwsze!

Walczakowa zdumiała się.

— Ależ Józiu, skąd ty o tem wiedzieć możesz?! Skąd u ciebie takie poglądy? To są przedewszystkiem krańcowe uogólnienia... każdy... zawsze.

— No, może nie każdy, nie wszyscy, nie zawsze, ale ogół... Twój mąż należy zdaje się do wyjątków, chociaż... Powiem ci szczerze, że ja żadnemu mężczyźnie nie ufam zbytnio...

— Czy ty przypadkiem nie za wiele czytasz powieści n. p. Zapolskiej... Pamiętaj o tem, że w powieści nawet najlepszej, pewne objawy życiowe są przejaskrawione.

Józia posmutniała i spoważniała. Podeszła do okna i spoglądając przez szyby, o które drobnemi kroplami siekł deszcz, odpowiedziała:

— Ej, nie!... Ja tego z książek nie czerpię... W życiu bywają stokroć gorsze rzeczy niż w powieściach... Widzisz, ty jesteś daleko mądrzejsza odemnie, ty jesteś wykształcona, ja mało co umiem, ale o tych złych rzeczach w życiu, to ja wiem więcej od ciebie... Tyś się chowała tutaj na wsi, w takiej czystej atmosferze, pod troskliwą opieką, a ja... Dziewczyna miejska, puszczona samopas, pozbawiona matczynej opieki i miłości, wzrastałam pod wpływem służących i rozmaitych koleżanek, o! bardzo rozmaitych!... Patrzyłam na wiele rzeczy i wcześnie zaczęłam rozumieć... Zresztą pamiętam, jaki był los mojej matki... Pokażę ci jej fotografię z czasów narzeczeństwa... Młoda była i śliczna, jak anioł... Kochała mego ojca szczerze, serdecznie, głęboko; wybrała go z pośród kilku innych i miłość tę zdaje się zachowała aż do końca swego smutnego życia... No, a wiesz przecie, ile przecierpieć musiała... Albo inny wypadek: W sąsiedztwie naszem mieszkało małżeństwo. Jako dziecko chodziłam tam często, bo bardzo lubiłam dobrą, miłą, młodą panią... A jak ona kochała swojego męża, to już nie wyobrażam sobie, żeby można kochać więcej... Ciągle o nim mówiła, na innego mężczyznę to nawet nie popatrzyła się, mężem tylko żyła i dla niego... Myślisz, że on to umiał choć trochę ocenić? Gdzie tam!... Dokuczał jej na każdym kroku!... Nie mógł zapomnieć tego, że przed kilku laty szalał za jakąś awanturnicą, która z niego drwiła i wystrychnęła go na dudka... Na żonie mścił się za wszystkie zniewagi, jakich doznał od tamtej. W końcu żonę porzucił i poleciał za tamtą, kiedy tylko palcem skinęła na niego... A biedna pani płakała i płakała... Wówczas nie wiele rozumiałam, o co chodzi, ale teraz tak mi to wszystko staje przed oczyma...

— Ależ to są wyjątkowe wypadki, z których nie można wyciągać wniosków ogólnych...

— Nie! To nie są wyjątkowe wypadki... Tacy są mężczyźni!... Weź choćby mnie samą! Ja Konrada kochałam prawdziwie, on jeden mógł ze mnie zrobić dobrą kobietę... No i cóż? Tyranizował mnie, a najczulszym, najtkliwszym był wtedy, kiedy się w nim budziła zazdrość... A później, kiedy się do niego zwracałam z taką tęsknotą, z takiem upragnieniem, jak do kogoś najmilszego, najbliższego na całym świecie, wtedy spotkałam się z obojętnością, odczułam tyle znudzenia, że musiałam zerwać!... Rozumiesz, nie chciałam, ale musiałam!...

Załamał się głos dziewczyny. Rozpalone czoło przycisnęła do szyby.

Długą chwilę panowało milczenie.

— Chociażby w tem, co mówisz, było dużo słuszności, to ciebie jeszcze nie usprawiedliwia... — wyrzekła wreszcie Walczakowa. — Cóż ci winien Michnik? Ja sądzę, że on właśnie z tych jest mężczyzn, którzy kobietę kochającą ocenić są zdolni...

— Może... Więc niech cierpi za innych, choć kto wie, czy i on jakiej kobiety nie ma, lub nie będzie miał na sumieniu... Jeżeli go dręczę czasem bezwiednie, to zaledwo drobną część tego oddaję, co cierpią kobiety i co przecierpieć będę musiała ja sama, jeżeli znowu zapałuje nadmemą miłość...

Anielka nie odpowiedziała nic. Zamyśliła się. Zastanowił ją ten szczególny feminizm Józi, którego istnienia nie przypuszczała wcale.

Kiedy skończyła się nauka w zalesińskiej szkole, Michnik przyszedł pożegnać się do dworu. Nauczyciel miał na jakiś czas pojechać do rodziców. Walczył ze sobą, ciężko mu było choćby na tydzień wyrzec się widoku Józi, ale stara, słabowita matka tak bardzo prosiła...

— Jak to, pan wyjeżdża? — zawołała wówczas Józia — Szkoda...

— Pani wolałaby, żebym został? — zapytał Michnik z bijącem sercem.

— Może... może... — szepnęła dziewczyna, rzucając mu prześliczny, czarujący uśmiech i odbiegła, jak ptak spłoszony.

Nazajutrz rano Józia spotkała się na polnej drodze z Michnikiem, który dążył już do dworu uśmiechnięty i zadowolony.

— Jakto, to pan nie pojechał? — rzuciła dziewczyna pytanie ze zdziwioną miną — Dlaczego?

Władysław zmieszał się, stracił odrazu całą pewność siebie.

— Przecież... pani mówiła wczoraj, że woli... abym nie wyjeżdżał...

— Co?! Chyba się panu śniło! Więc to niby dla mnie pan pozostał? Stanowczo zbytek uprzejmości! Jeżeli o mnie chodzi, to może pan spokojnie jechać!

Michnik nie pojechał jednak i pozwalał się dręczyć dalej. Jakby potwierdzając teorye Józi o mężczyznach, znosił jej kaprysy z pokorą niewolnika, który nie próbuje się nawet buntować.

Przychodziły jednak chwile błogie, szczęśliwe, które wynagradzały go za wszystko. Józia stawała się niekiedy cicha, łagodna, słodka, spokojna...

Wtedy rozmawiała z Michnikiem życzliwie, serdecznie, szczerze, jak z przyjacielem. Opowiadała mu o swoich przykrych stosunkach domowych, o swem życiu w Krakowie, o różnych zwątpieniach, marzeniach, nadziejach, które się jej przez umysł przewijały. Pytała go nieraz nawet o radę, a zakochanemu młodzieńcowi zdawało się, że raj się przed nim otwiera...

Ale Józia umiała go prędko z tego raju wypłaszać...

Czasem z charakterystyczną dla niej bezwzględną szczerością zaczynała mu opowiadać o wielkiej miłości, którą przeżyła. Roztaczała przed nim obraz dni spędzonych z Konradem, nie zważając na to, że Władysław blednie i wyłamuje sobie tak ręce, że aż palce w stawach trzeszczą.

Milczał jednak i cierpiał.

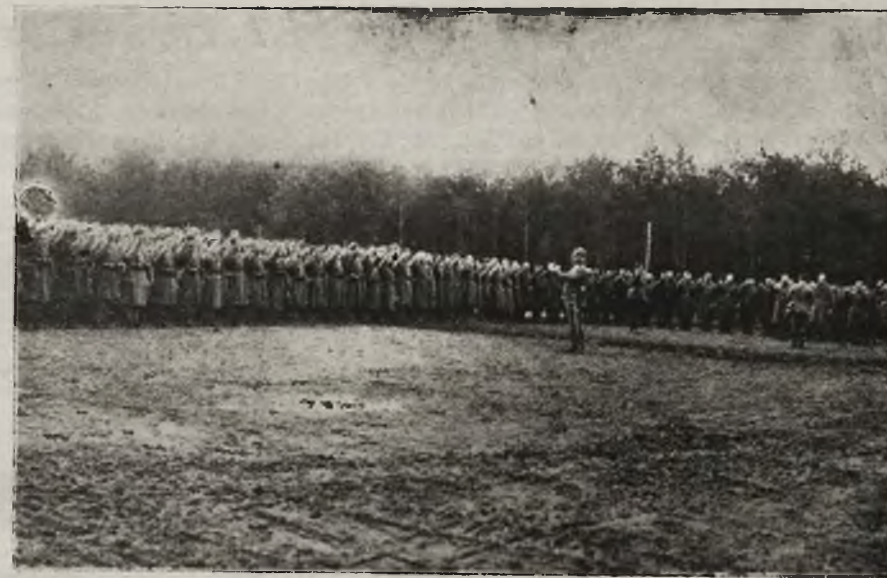
Dopiero od czasu przyjazdu Ludwika Rażyckiego zaczynało mu brakować cierpliwości.

Józia dotychczas miała wybór tylko pomiędzy Michnikiem a ośmnastoletnim praktykantem Olesiem i Zanieckim, który ją zrażał swoją bezczelną zuchwałością.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Z dworca krakowskiego: Zaprzysiężenie żołnierzy Komendy nowemu cesarzowi. (×) Komendant, nadpor. dr. Gertler.



Dzieci krakowskie na froncie: Uroczysta przysięga 16. pułku piechoty obrony krajowej cesarzowi Karolowi I. Rotę przysięgi odczytuje pułk. Hohenauer.

Z dworca krakowskiego.

Uroczyście i w serdecznym nastroju obchodzono święta Bożego Narodzenia w Komendzie dworca krakowskiego. W sobotę, dnia 23. grudnia, w pałacu Wołodkiewiczów, przy ulicy Lubicz, gdzie mieszczą się koszary Komendy, odbył się wieczór wigilijny, urządzony staraniem oficerów, przydzielonych do Komendy dworca, z komendantem, nadporucznikiem dr. Julianem Gertlerem na czele. W pięknie udekorowanej sali — przy tradycyjnem drzewku — zgromadzili się wszyscy oficerowie, podoficerowie i żołnierze Komendy, urzędnicy kolejowi, szef ekspozytury policyjnej na dworcu, komisarz Warczewski i grono gości.

Do zebranych przemówił w serdecznych słowach komendant, dr. Gertler, a na przemówienie to odpowiedział podoficer służbowy, p. Teofil Cholewicz, podnosząc ojcowskie traktowanie podwładnych przez komendanta Gertlera. Następnie, po wzajemnem złożeniu sobie życzeń przy opłatku, zasiedli wszyscy do wieczerzy wigilijnej, podczas której rozdano podarki gwiazdkowe, zakupione przez oficerów Komendy dworca. Wieczerza, podczas której śpiewano kolendy, przeciągnęła się wśród serdecznego nastroju do północy.

Uroczystość zakończyło pamiątkowe zdjęcie fotograficzne, które podajemy w dzisiejszym numerze. Jednocześnie zamieszczamy drugą fotografię z dworca krakowskiego, mianowicie zaprzysiężenie żołnierzy Komendy nowemu cesarzowi.

Z odbudowy Galicyi.

Przemyśl, w grudniu 1916.

Olbrzymie zniszczenie naszego kraju, spowodowane wydarzeniami wojennemi, usunąć, zagoić tysiączne rany zadane znękanemu organizmowi oszczepem wojny, to zadanie nie na rok ani dwa, ale na lata. Zanim odżyją zniszczone wsie, w nędzy pogrążone, zanim ruiny dworów do życia się ockną, fabryki, tartaki, gorzelnie i młyny w ruch zostaną puszczone — kilka upłynie lat. Dzisiaj akcya odbudowy, wobec ogromu ciężkich warunków pracy, ogranicza się do przeprowadzenia zamierzeń, nie cierpiących zwłoki — odbudowy wsi i powołania do życia zakładów przemysłowych z odbudową ściśle związanych.



Z odbudowy Galicyi: Odbudowany dom włościański w Rożubowicach (powiat przemyski).

Praca olbrzymia. Ocenić ją może jedynie ten tylko, kto widział ogrom zniszczenia, kto miał sposobność przejechania przez te ruiny i zgliszcza wsi, opuszczonych przez mieszkańców, bez śladu życia.

Tu matka z dziewięciorgiem dzieci pod gołem niemal niebem, tam starzec z gromadką wnuków, których wojna pozbawiła rodziców. Stoją dzień za dniem i patrzą z zachwytem i rozrzewnieniem na rosnący w szybkiem tempie dom. Już nie czekając na wykończenie, gotują swój nędzny obiad... Kto potrafi zrozumieć radość tych ludzi, gotujących strawę u własnego ogniska, po dwu przeszło latach poniewierki i nędzy?

Rośnie dom za domem, czerwienią się dachy, dachówką pokryte — już widać wieś zdala... Wieś za wsią... Dobrze zorganizowana akcya postępuje naprzód. W czterech magazynach ekspozytury przemyskiej z nadeszłego pociągami materyału przygotowuje się domy i gotowe zwozi na miejsce budowy — czekają tam już cieśle... i zrąb domu za dzień ustawiony... Jeszcze zadylować ściany, jeszcze pokryć dachówką... jeszcze to i tamto, milion drobnych spraw!

Domy — co się rzuca w oczy przedewszystkiem — pod względem formy estetyczne. Zastosowano przeważnie dachy czterospadkowe z wysuniętym okapem i dymnikami. Każdy, niemal najmniejszy nawet domek, obdarzony został jakąś ozdobą,



Z dworca krakowskiego: Gwiazdka w Komendzie dworca.



Dzieci krakowskie na froncie: Wnętrze menaży oficerskiej 16. p. p. obrony krajowej (200 m. poza pierwszą linią bojową).

niekosztowną, a przecież miłą dla oka. — Ten zdobi dach, tamten ganek, lub małe podcienie...

Wchodzimy do wnętrza: sień, izba, dwie i trzy nawet — stosownie do stosunków i liczby rodziny — komora, rzadko gdzie stajnia pod jednym dachem.

To podkreślam z prawdziwą radością, może przecież wykorzeni się te stare nałogi.

Rozmawiam z właścicielem jednego z nowo postawionych domów:

— Podoba się wam wasz nowy dom?

Zdejmuje czapkę z głowy i odpowiada:

— Ładny, ładny, panie radco — (mam na sobie futro, więc widocznie wyglądam na radcę) — Dziękujemy też, dziękujemy...

Zadowoleni są z nowych siedzib, a to najwa żniejsze.

Inż. *G. Ch.*

Z życia w Królestwie Polskiem.

Towarzystwo Muzyczne w Dąbrowie Górniczej pod dzielnem kierownictwem niestrudzonego p. Karola Guzikowskiego wystawiło dwukrotnie 4. i 10. grudnia 1916 r. „Widma“ Stanisława Moniuszki, illustrujące muzycznie II. część „Dziadów“ A. Mickiewicza.

Zbytecznem jest zaznajamiać Czytelników z treścią arcydzieła naszego poety, wspomnieć jedynie wypada, że sceny ukazywania się widm zmarłych ludzi, ceremonie obrzędów i guseł, oraz wrażenia tłumu, uczestniczącego w obrzędach, wyrażone w nieśmiertelnym poemacie, tworzą same przez się pieśń, która domagała się wprost odtworzenia w dźwiękach muzycznych. Dzieła tego dokonał nasz mistrz tonów, tworząc wspaniały poemat muzyczny.

Wykonanie tego rodzaju utworu, jakim są „Widma“, było zaiste zadaniem niełatwem dla zespołu amatorskiego, liczącego razem z orkiestrą około sześćdziesiąt osób, z czystem jednak sumieniem można stwierdzić, że poziom artystyczny wykonania całości był bez zarzutu, że niekłamane i żywe zadowolenie słuchaczów walczyło o lepsze z podziwem, że takie nadzwyczaj trudne dla zespołu amatorskiego zadanie zdołano w ten sposób wykonać. Zasługa to w pierwszym rzędzie niezmordowanego, prawdziwie utalentowanego, zamiłowanego i szczerze oddanego sztuce dyrygenta, p. Karola Guzikowskiego. Ogromu pracy dyrektora nie zrozumie ten, kto nie zna dokładnie warunków, wśród których zwykle odbywa się w naszem społeczeństwie, jakby z łaski ofiarowana przez amatorów, praca dla kultu pieśni.

Wykonanie partyi solowych przez p. Irenę Strokowską oraz p. Edmunda Mirka w znacznej mierze przyczyniło się do artystycznego wykonania całości.





Dzieci krakowskie na froncie:
Pułk. Hohenauer dekoruje odznaczonych za waleczność oficerów i żołnierzy 16. p. p. obr. kraj Scena i artyści 16. pułku obrony krajowej w polu, 200 m. poza linią bojową.



Odbudowa Galicyi: Bezdomni w Brylińcach (powiat przemyski).

P. Edmund Mirek znany jest miejscowej publiczności, jako utalentowany odtwórca partyi solowych. Posiada on bardzo rozległą skalę głosu i nadzwyczaj giętki i modulacyjny materyał wokalny.

P. Irena Strokowska, prof. przy Towarzystwie Muzycznem w Warszawie, posiada głos sopranowy o silnem, pełnem i metalicznem brzmieniu, przyczem uwydatniło się opanowanie całkowite techniki głosowej.

Część deklamacyjną, wiążącą poszczególne fragmenty muzyczne, wykonali p. Jadwiga Niepielska oraz p. Aleksander Wanert.



Z odbudowy Galicyi: Odbudowany dom włościański w Rożubowicach (pow. przemyski). (X) Szef ekspozytury odbudowy Galicyi w Przemyślu, nadradca Pannenko.



Z polskich pobojowisk: Zburzony granatem mur w klasztorze O. O. Dominikanów w Czeknie.

(Fot. Waydowicz).

Zwłaszcza p. Jadwiga Niepielska, Krakowianka, wywarła bardzo dodatnie wrażenie. Wniknięcie w treść deklamowanego utworu, oraz wymowa nadzwyczaj czysta i dźwięczna, złożyły się na całość, pod każdym względem doskonałą.

Na zakończenie trudno nie wspomnieć chociaż pobieżnie o wytycznych, jakie w swej pracy postawiło sobie Towarzystwo Muzyczne w Dąbrowie. Jest to wyjątkowe na stosunki prowincyonalne zrzeszenie muzyczne, które postawiło sobie za cel planowe i metodyczne podnoszenie poziomu kultury muzycznej miejscowego społeczeństwa. W pracy swej opiera się ono od dłuższego czasu wyłącznie na pieśni ludowej, oraz perłach twórczości mistrzów rodzimych.

W przeciągu ostatnich kilkunastu miesięcy Towarzystwo Muzyczne w Dąbrowie dało koncert „Polska w pieśni", uwydatniający wszelkie przejawy życia narodowego, zespolonego z pieśnią i objaśniony zajmującą i pouczającą prelekcyą. Program koncertu przepełniony był pieśniami układu młodego, lecz wielce muzykalnego dyrektora Towarzystwa.

Następnie wykonano „Witoloraudę" Moniuszki, dwukrotnie „Sonety Krymskie" Moniuszki, a obecnie przy wypełnionej sali dwa razy wystawiono „Widma".

Dorobek rzetelny i znaczny, świadczący o owocnej pracy kulturalnej Towarzystwa Muzycznego w Dąbrowie.

Dzieci krakowskie na froncie.

Czwarty rok kalendarzowy zaczął się pod znakiem Marsa, a wojna, jak nie chciała, tak nie chce się skończyć! Mówi się wprawdzie obecnie i pisze



Z życia w Królestwie Polskiem: Wykonawcy „Widm" Moniuszki w Dąbrowie Górniczej.



Z odbudowy Galicyi: Budowa domu włościańskiego w Olszanach (powiat przemyski).

wiele o pokoju, ale, na razie przynajmniej, wszystko kończy się na słowach, pokojowego zakończenia tych tytanicznych iście zmagań doczekać się nie możemy.

W dziejach tej światowej katastrofy, która swą zaciętością przeszła wszystkie poprzedniczki i zapoznała nas z okropnościami wojny, jakie dotąd znaliśmy tylko ze słuchu i opisu, a obecnie odczuliśmy na własnej swej skórze, niepoślednie miejsce zajęły oba pułki „krakowskich dzieci“, to jest liniowy pułk piechoty nr. 13. i 16. pułk piechoty obrony krajowej, rekrutujący się z Krakowa i najbliższej jego okolicy.

Naoczni świadkowie, którzy patrzyli na „robotę“ naszych dzielnych Krakowiaków w polu, utrzymują zgodnie, iż rzadko spotkać się można z takiem męstwem i taką brawurą, jaką oni okazują na każdym kroku. Ale nic w tem dziwnego, każdy Krakowiak to przecież urodzony żołnierz, wychowany na rycerskich tradycyach ojców i dziadów. Rzecz też prosta, że dali się oni porządnie wrogowi we znaki na



Z polskich pobojowisk: Uszkodzony pociskami zamek w Rejowcu. (Fot. Waydowicz).

wszystkich frontach, gdzie się tylko znaleźli, a już ze szczególniejszem zamiłowaniem zabierali i zabierają się do młócenia Moskali, by w ten sposób wejść godnie w ślady swych dziadów z pod Racławic. W pismach codziennych rzadko o nich znajdujemy wzmianki, jeśli się zaś z niemi czasem spotykamy, są to tylko pochwały i słowa uznania

Zasługa to w pierwszej linii temperamentu naszych poczciwych Staszków, Kantków i Felków z miasta, z którymi idą o lepsze Maćki i Kuby z gmin sąsiednich, z drugiej zaś komendy. Potrafiła ona wyrobić między oficerami i żołnierzami obu krakowskich pułków to współżycie harmonijne, które utworzyło z pułku jedną rodzinę.

Wspominaliśmy już w *„Nowościach illustrowanych“* niejednokrotnie o „trzynastakach“ i ich życiu w okopach i poza nimi, obecnie kilka słów poświęcić wypada i „szesnastce“ obrony krajowej, zostającej pod komendą pułkownika Hohenauera.

Jeśli w którym pułku, to właśnie w tym, stosunek między przełożonym a podwładnymi wyrobił się tego rodzaju, iż każdy żołnierz poszedłby w ogień, zwłaszcza za swojego komendanta, ulubieńca całego pułku. Pułkownik Hohenauer rzetelnie też na tą sympatyę zasłużył, dobro pułku to jedyny cel jego starań i zabiegów, a dzielnie w tem sekundują mu i inni oficerowie. Nic też dziwnego, że zdobyli sobie sympatyę swych podkomendnych, umiejących po krakowsku sercem płacić za serce.

W obliczu nieprzyjaciela, o kilkaset zaledwie kroków od jego okopów, „szesnastka“ wiedzie z fantazyą żołnierski żywot. Gdy potrzeba, każdy bez różnicy stopnia, mężnie nadstawia piersi wrogowi, w chwili spoczynku i wytchnienia wszyscy sił dokładają, by uprzyjemnić sobie życie obozowe. W jednym z poprzednich numerów podaliśmy illustracye, przedstawiające wizytę świętego Mikołaja u „szesnastki“, dziś zamieszczamy dalszą seryę obrazków, odnoszących się do tego pułku, między innymi polową scenę i artystów dramatycznych amatorów, co najlepsym jest dowodem, że wojna, choć trwa tak długo, nie wpłynęła bynajmniej przygnębiająco na „krakowskie dzieci“.

Pozatem znajdą Czytelnicy rycinę, przedstawiającą ostatni pomnik, postawiony dla cesarza Franciszka Józefa w polu przez pułk szesnasty, dekorowanie oficerów i żołnierzy, którzy się w bitwach odznaczyli, zaprzysiężenie pułku nowemu cesarzowi i wnętrze oficerskiej menaży, zbudowanej tuż poza linią bojową przez pułkownika Hohenauera.

Dodać należy, że „szesnastka“ interesuje sie żywo i tem wszystkiem, co się dzieje w „Hinterlandzie“, jak o tem mieliśmy sposobność przekonać się ze składki na sztandar dla Legionów polskich, złożonej przez pułk za inicyatywą komendanta.

Jednem słowem, Kraków może być tylko dumnym ze swych „dzieci“!



Dzieci krakowskie na froncie: Korpus oficerski 16. p. p. obrony krajowej z pułk. Hohenauerem przy pomniku cesarza Franciszka Józefa, wzniesionym w odległości 100 m. poza linią bojową.



Z odbudowy Galicyi: Odbudowana stodoła włościańska w Tarnawach (pow. przemyski), kryta dachówką cementową.

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

9

Na niewielką estradę wystąpił reżyser, czy wywoływacz również w żałobnym stroju i zwrócił się do gości:

— Trochę cierpliwości, szanowni państwo — za chwilę przejdziecie z tego ziemskiego czyśca do rozkoszy piekielnych. Ogień wulkaniczny spali wasze ciała na popiół i zostaniecie wyzwoleni. Panowie w białych krawatach przyjęli to przemówienie wybuchem śmiechu.

Bernardet przeciwnie czuł się cokolwiek zmieszanym, chociaż nie brał zbytnio do serca uwag swojej małżonki. Ale ten człowiek prosty, o zdrowej duszy i ciele, przyzwyczajony, jako ajent policyjny, do widoku mordów wszelakich i nędzy ludzkiej — oburzał się w duchu i czuł się dotknięty w prostych swoich uczuciach przez te niezdrowe żarty zblazowanych dekadentów.

Nagle na znak dany przez reżysera, ciemność objęła salę i lekki czerwonawy blask padł na malowidła ścian, które w jednej chwili przybrały dziwnie tragiczny wygląd. — Zamiast upudrowanych głów tanecznych par, przybranych w kwiaty i klejnoty, wystąpiły trupio blade twarze o żarzących się fosforycznie oczodołach. — Wszystkie zaś te ciała, przyobleczone w aksamity, jedwabie i lśniące tkaniny, przez jakąś grę świateł, ukrytych za ścianami, zamieniły się w szkielety, poruszające się złowrogo w takt cichej muzyki. Na scenę, tonącą również w zmroku, wystąpił znowu reżyser i patetycznym, donośnym głosem przemówił do zebranych gości:

— Oto to, co was czeka w niedalekiej przyszłości: zgnilizna i kościotrupy! Wy, Paryżanie strojni i weseli, noszący już zaczątki rozkładu ostatecznego w sobie.

Światło zajaśniało znowu w całej pełni i szkielety znikły, jak gdyby dotknięte laską magiczną, ustępując pięknym Wenecyankom, kołyszącym się niedbale na lekkich gondolach.

Kilka kobiet na sali roześmiało się głośno, lecz były i takie, które zachowały aż do końca widowiska niesmak jakiś na twarzy i zmieszanie.

— Paryż jest dziwnem jednak miastem! — filozofował ze swojego kąta Bernardet.

Siedział oparty o ścianę, na której wypisane były różne sentencye i dziwaczne malowidła, wyobrażające śmierć w rozlicznych jej przejawach. — Zamyślenie jakieś ogarnęło go nagle. Dzisiejsze widowisko nie było dziś dla niego tak nęcącem, jak dawniej. Była chwila, że chciał już odejść i powrócić do domu, ale jakieś przeczucie zatrzymało go na miejscu.

Został więc spoglądając bacznie po obecnych i obserwując ich zachowanie.

Nagle drzwi sali otworzyły się z trzaskiem i na progu stanął wysoki, młody człowiek, o pewnych, energicznych ruchach i rozejrzał się uważnie wokoło. Czarna, kręcona broda otaczała jego twarz bardzo bladą. Mógł mieć lat około trzydziestu i miał wygląd malarza lub też rzeźbiarza.

Spojrzenie ciemnych oczu twarde było i surowe.

Bernardet mimowoli zwrócił się w jego stronę, przypatrując mu się ciekawie. Nagle zadrżał lekko. Nieznajomy trzymał w ręce duży kapelusz z popielatego filcu, o płaskich, szerokich brzegach! Ten kapelusz przykuł całą uwagę Bernardeta.

Zapewne niejeden z mieszkańców Paryża nosił podobne okrycie głowy. — Ale twarz nieznajomego miała w sobie jakiś wyraz, który zelektryzował go. A gdyby to był ów młody człowiek, który sprzedał portret Jerzego Montin właścicielce sklepu, pani Colard!

Bernardet doznał dziwnego wzruszenia i niepokoju.

Czyżby szczęście przyszło mu z pomocą i dopomogło do znalezienia wspólnika mordercy pana Rovere? Nie było to pewnem, ale mogło się stać prawdopodobnem! — Prawda niekiedy utworzona jest z nieprawdopodobieństw samych. — Jakiś instynkt ostrzegał Bernardeta, że ma przed sobą człowieka, którego tak dotąd szukał bezskutecznie. Uczuł silnie wstrząśnienie nerwowe, jak ktoś gotujący się do ostatecznej walki.

— To może on! To może on! — szeptał, popijając wino stojące przed nim — Ten wygląd niecodzienny, twarz całkiem mi obca, a przedewszystkiem ten kapelusz!

Szczęście widocznie sprzyjało dzisiaj Bernardetowi.

Nieznajomy obrzuciwszy salę długiem spojrzeniem, wahał się chwilę w wyborze miejsca, poczem usiadł przy stoliku, stojącym naprzeciw ajenta.

Chłopiec w żałobnem ubraniu pospieszył natychmiast do nowego gościa i zapalił znajdującą się przed nim świecę w kształcie gromnicy. Blask jaskrawy padł na twarz nieznajomego, co dozwoliło Bernardetowi przyjrzeć się dokładnie jego rysom.

Wystąpiła teraz jeszcze silniej matowa bladość i wyraz nerwowego niepokoju, przebijającego się w oczach młodego człowieka. Zdawał się nie zwracać uwagi na uporczywe spojrzenia Bernardeta, ręce zmęczonym ruchem oparł na swoim oryginalnym stoliku i popijał wolno absynt z wysokiej, smukłej szklanki

Bernardet poznał natychmiast, że nie musiał on być stałym gościem „Kawiarni Szkieletów“, ani jednym z tych ludzi znudzonych, szukających tu chwilowej rozrywki.

Było coś w nim egzotycznego, co zwracało uwagę. — Oczy duże i błyszczące, mało ruchliwe, miały ten specyalny wyraz spotykany u ludzi przyzwyczajonych do wielkich przestrzeni i żyjących na wolnem powietrzu.

— To jednak ciekawe! — myślał Bernardet — Przecież ja o tym człowieku, którego szukam, nie wiem nic zgoła, oprócz tego, że miał duży, cudzoziemski kapelusz. Czyż taki małoznaczący rys pozwoli mi do odnalezienia go?

I już w głowie swojej Bernardet snuł plan, jakim sposobem zmusić tego nieznajomego do zdradzenia się.

Czekał, aż nadejdzie chwila, w której reżyser zjawi się na sali i oznajmi gościom, że przejść już muszą do grobów podziemnych, ażeby być świadkami dalszej części widowiska.

Niedługo czekał na tę sposobność.

Skorzystał z niej natychmiast i kiedy publiczność ze sali ruszyła ku drzwiom, podsunął się zręcznie do nieznajomego i nie odstępując go już, szedł za nim wąskim, ciemnym korytarzem, wiodącym do obszernej piwnicy, gdzie ustawiona była niewielka scena.

Na scenie tej stała trumna.

Było to jedyne w swoim rodzaju przedstawienie, którem właściciel „Kawiarni Szkieletów“ raczył swoich gości.

Bernardet znał je już dobrze i wiedział, przez jaką grę mechaniczną świateł różnorodnych, dawano tu publiczności złudzenie rozkładu trupa, leżącego w trumnie.

Widowisko podobne, lecz mniej udoskonalone oczywiście widywał na Monmartre w teatrzykach wędrownych, lub na wielkich jarmarkach w Neuilly.

Rzecz ta niegdyś zaciekawiła Bernardeta i usłużny właściciel „Kawiarni Szkieletów“ wytłumaczył mu cały mechanizm tego sztucznego złudzenia.

Teraz więc Bernardet chciał być świadkiem tej brutalnej parodyi, lecz nie jako ciekawy i pragnący wrażeń widz. Wiedział dobrze, w czem mu to oryginalne przedstawienie posłużyć może.

Podziemie było pełne ludzi. Pomiędzy czarnemi ścianami piwnicy, zaledwie oświetlonej, stali mężczyźni i kobiety zbici w jedną olbrzymią grupę. — Wszystkie spojrzenia, błyszczące niezdrową gorączką, zwrócone były na scenę.

Ktoś czasem rzucił jakiś cyniczny żart, gdzieniegdzie rozległ się histeryczny śmiech bardziej przeczulonej kobiety. — Chociaż niewiara u tych wszystkich ludzi była ogólną i silną, widok śmierci czynił na nich nieprzyjemne wrażenie i niepokoił ich wzburzone umysły.

Bernardet nie odstępował na krok młodego człowieka o popielatym, szerokim kapeluszu filcowym.

Przy blasku, idącym od sceny, mógł doskonale widzieć jego twarz i badać jej wyraz.

A ta twarz blada o świecących oczach dziwnie odbijała się na tle półmroku obejmującego salę.

Przedstawienie rozpoczynało się.

Reżyser w żałobnym ubraniu wystąpił na przód sceny i poważnym głosem zapraszał, by który z gości zechciał zająć miejsce w przygotowanej trumnie.

— Panowie i panie! Kto z was pragnie się poddać tej nadzwyczajnej próbie. — Pozostali na sali ujrzą rzecz niebywałą i pełną grozy! Oto ujrzą przyjaciela swojego, brata, czy siostrę, tak, jak będą wyglądali po śmierci. W oczach ich przewinie się cały porywający i wzruszający widok rozkładu ciała i jego zgnilizny!

Ale na sali nikt się nie poruszył.

Mężczyźni uśmiechali się ironicznie, a kobiety z pobladłemi twarzami patrzały przed siebie, wstrząsając się nerwowo. Bernardet zaś patrzał i czekał. Wiedział, że nadejdzie chwila, w której on, zwykły ajent policyjny, stanie się panem sytuacyi i wzbudzi w niejednym większy niepokój, niż ten, który obecnie doświadczają, bo stanie się tym, który wolność i życie człowieka trzyma w swojej dłoni.

— Dalej, panowie i panie! — zapraszał ironicznie impresaryo — Jedna mała chwila decyzyi, a dostarczycie swoim znajomym wielkiej radości. Dostarczycie im tej przyjemności, której za życia oglądać nie mogą. Ujrzą najlepszego może przyjaciela gnijącego, rozkładającego się w ich oczach! Czy są pomiędzy wami ludzie żonaci!? Może pragną zakosztować zawczasu rozkoszy wdowieństwa? Czy nie chcesz pani ujrzeć swojego małżonka toczonego przez robactwo i zgniliznę? Niecodzienny to widok przecież! Niech który z was się poświęci! No, dalej! Przybywajcie do mnie! Śmierć was tu czeka!

Śmiech na sali wzmagał się, śmiech nerwowy i histeryczny, brzmiący dziwnie fałszywą nutą. Ale nikt się nie ruszał. — Ta parodya śmierci niemiłą była nawet dla tych zblazowanych i zdegenerowanych ludzi.

— A więc! — zawołał jeszcze impresaryo. — Widzę, że zaproszenie moje uznanem przez was nie będzie! Mamy tutaj trupa własnego, którym zaraz służyć wam będę. Ale szkoda! Wielka szkoda! Tracicie wiele subtelnych i niezwykłych wrażeń!

Poczekał jeszcze chwilę, a że nikt z gości nie zdecydowoł się podejść ku scenie, impresaryo ruchem ręki zaprosił jednego z żałobnych służących do wejścia na estradę. Sztuczny trup umieścił się w stojącej postawie w wązkiej trumnie, a impresaryo zarzucił na niego draperyę czarną i owinął go nią szczelnie, pozostawiając tylko twarz odkrytą.

Trup zamknął oczy i uśmiechał się.

— On śmieje się, moi bracia! — zawołał patetycznie impresaryo. — On jeszcze się śmieje! Ale ujrzycie wkrótce, jak ciężko ukarany zostanie za tę sztuczną radość ziemską. Chwile jego są już policzone! I Rzym śmiał się, a zginął przecież, jak powiada pan Bossuet!

Kilka oklasków podkreśliło ten nieoczekiwany żart literacki.

Bernardet jednak nie słuchał i nie śledził tak, jak inni, biegu przedstawienia.

Stał obok nieznajomego i badał twarz jego. Twarz ta zmieniła wyraz. Nie było już w niej tej skupionej uwagi i zaciekawienia, jakiego Bernardet dopatrzył się przed chwilą. Coś dzikiego osiadło na niej, podczas kiedy oczy błyszczały gorączkowym blaskiem!

— Przejmuje się widowiskiem! — pomyślał Bernardet. — Uważajmy dalej.

Rzeczywiście, zdawało się, że oczy nieznajomego nie mogą się oderwać od sceny. Zacisnął wargi i z brwiami zmarszczonemi, jak gdyby przyciągnięty magnetyczną jakąś siłą, uporczywem spojrzeniem obejmował trumnę i leżącego w niej człowieka.

Sztuczny trup, niewygodnie leżący w wązkiej trumnie, uśmiechał się dalej.

— Patrzcie! Patrzcie dobrze i uważnie! — zabrzmiał znowu ironiczny, głęboki głos impresarya. — Zobaczycie, jak brat wasz przyoblecze się w bladość śmiertelną i stanie się koloru zgniłej twarzy. Następnie ciało od niego kawałami odpadać będzie i pozostanie tylko z niego szkielet nagi! Pomyślcie bracia i zastanówcie się! Oto los, jaki was czeka, gdy opuścicie progi te. Pamiętajcie, że śmierć czyha na was na każdym kroku i podziwiajcie cudowne widowisko, jakie wam daje „Kawiarnia Szkieletów“. Przypomina wam ono, że z prochu powstaliście i w proch się zamienicie. Zastanówcie się nad życiem waszem i powiedzcie sobie tak, jak rzekł ten pijak, który nocą spotkał sąsiada swojego, leżącego w rynsztoku: „Oto, jakim stanę się w najbliższą niedzielę“. A tymczasem, bracia i siostry moje, śledzcie ciekawie przebieg tego wielkiego aktu natury, jakim jest śmierć!

Podczas patetycznej przemowy impresarya, reflektory różnorodne, umieszczone w kulisach scenki, wywoływały na twarzy trupa z początku mniejsze, następnie coraz więcej rozprzestrzeniające się sine plamy. Wystąpiły one najprzód koło ust i oczodołów, zalegając następnie twarz całą, która stała się szaroziemistej barwy. Rysy twarzy, pierwotnie wyraźnie zarysowujące się, zdawały się zanikać, rozciągać i mięknąć, oblekając się w mgłę jakąś zielonawą, osiadającą na ciele i zacierającą wszelkie jego kontury.

Złudzenie było nadzwyczajne.

Przed oczami rozciekawionych widzów proces śmierci rozwijał się stopniowo z najdrobniejszymi szczegółami.

Nie był to już trup człowieka, leżący w trumnie

lecz szczątki jego zmniejszające się i zanikające z każdą minutą.

Za chwilę pozostanie z niego tylko szkielet suchy, świecący fosforycznem bielmem kości.

Bernardet nie chciał już czekać na to ostatnie przeobrażenie. Przeczuł, że napięcie duchowe nieznajomego dochodziło do kulminacyjnego punktu — i że czas było już w niego uderzyć, aby wywołać gwałtowną reakcyę.

Zresztą sam był tak wzruszony tem niespodziewanem spotkaniem, iż drżał z niecierpliwości, aby jaknajprędzej przekonać się, że się nie mylił, że przeczucie jego było oczywistą prawdą.

Zachowanie się nieznajomego o wielkim szarym kapeluszu stawało się coraz dziwniejszem i nienaturalnem. We wzroku jego, wlepionym w trumnę, Bernardet dojrzał przebłyski szału i rozpaczliwej trwogi.

Bernardet, chcąc otrząsnąć się z wrażenia, rozejrzał się po sali. Spojrzenia wszystkich gości pociągnięte były ku scenie, ale w żadnej twarzy nie dojrzał tego tragicznego wyrazu. Była w nich tylko ciekawość i lekkie zdenerwowanie. Dlaczegóż więc to widowisko tak osobliwe uczyniło wrażenie na nieznajomym?

Rysy jego bladej twarzy kurczyły się w spazmie jakimś bolesnym, a w źrenicach, w których odbijały się światła ze sceny, gorzał ogień gorączkowy i silny.

— Ho! ho! Oko człowieka żyjącego — myślał Bernardet — to książka, w której tak czytać umiem, jak w źrenicy umarłego. Tamten mnie nie zawiódł, sądzę, że i na tym nie pomylę się również.

Tymczasem ponure widowisko rozwijało się dalej na scenie. Różnokolorowe światła coraz tragiczniej szym cieniem pokrywały tę sztuczną komedyę śmierci.

Już teraz nie trup spowity w całun śmiertelny, lecz jakieś poruszające się oślizgłe szczątki gnijącego ciała leżały na dnie trumny, toczone przez potworne gady. Był to widok, który nie każde nerwy znieść mogły. Po sali rozchodził się szmer przyspieszonych oddechów zdenerwowanych kobiet do ostatnich granic.

Jakiś głos zduszony wzruszeniem przedarł ciszę:

— Dosyć! Już dosyć!

W tej samej chwili Bernardet podniósł się na końcach palców, aby dosięgnąć ustami do twarzy nieznajomego i szepnął mu w ucho, wolno wymawiając wyrazy:

— Oto, jak musi obecnie wyglądać ten nieszczęśliwy pan Rovere.

Twarz młodego człowieka przybrała straszny wyraz. Przesunął ręką po czole, na którym wystąpiły gęste krople potu, jak gdyby odegnać chciał myśl jakąś natrętną. Zęby jego uderzały o siebie konwulsyjnym ruchem. Nie odwrócił się jednak, tylko cofnął się nagle w tył i patrzał dalej na scenę, z trudem chwytając ustami powietrze.

— Przypuszczam, że nie doszedł jeszcze do tak całkowitego rozkładu — szeptał dalej Bernardet, panując siłą nad radością, rozsadzającą mu piersi. — Ale to się stanie wkrótce i wtedy podobnym będzie do tego człowieka, leżącego w trumnie.

Słowa te odniosły pożądany skutek. Bernardet nie mógł marzyć o lepszym efekcie. Dreszcze gwałtowne przebiegały całe ciało nieznajomego i zdawało się, że padnie lada chwila zemdlony na ziemię.

Już teraz Bernardet pewnym był wygranej.

Bo i dlaczegóż człowiek ten okazywał takie zmieszanie, usłyszawszy wymówione przy sobie nazwisko pana Rovere? Zapewne mógł być powiadomiony o zbrodni, bo wszyscy w Paryżu mówili o niej i rozchwytywali dzienniki, opisujące tajemnicze zdarzenie z ulicy Clichy, ale to było jeszcze za mało, aby do takiego stopnia wzruszyć kogoś, który wyglądał na energicznego i silnego człowieka. Nie musiał on należeć do tych, których sam widok udanej śmierci przyprawić może o mdłości i poty.

— Nie! — myślał Bernardet — ten zuch nie wygląda na tchórza i zdenerwowanego niewieściucha. Jeżeli jest do tego stopnia przejęty, to w tem musi być jakiś ważny powód.

Jeszcze z większem zaciekawieniem Bernardet po tak udatnej próbie badał skrupulatnie każdy muskuł, każdy nerw twarzy nieznajomego.

Zauważył też, że silne wrażenie, wywołane usłyszeniem nazwiska pana Rovere, ustępowało powoli. Widocznie człowiek ten całą siłą woli i energii starał się opanować i doprowadzić organizm swój do normalnego stanu.

Ale ten pierwszy skurcz twarzy, to pierwsze zbuntowanie się nerwów, Bernardet zanotował sobie dobrze w pamięci. To był tragiczny moment, który mógł być dopiero początkiem scen dalszych. W tym niezapomnianym momencie nieznajomy zdradził się, zdradził cały swój niepokój, niepewność, wściekłość i strach rozpaczliwy.

Bernardet nie należał do ludzi, którzy ustają w połowie drogi. Był zdania, że należy kuć żelazo, póki jest jeszcze gorące.

Przysunął się jeszcze bliżej do młodego człowieka i rzekł od niechcenia, przybierając ton mowy dobroduszny i żartobliwy:

— Niewesołe jest to ich osławione widowisko, nieprawdaż? Każdy z nas widział już lepsze.

— Zapewne, że nie jest wesołe — odparł nieznajomy, starając się uśmiechnąć.

Ale uśmiech ten sztuczny zamienił się w skurcz nerwowy dolnej części twarzy.

Powolnym ruchem odwrócił głowę od sceny i rozejrzał się po sali.

— Ten biedny Rovere! — nalegał dalej ajent.

Nieznajomy zatrzymał teraz spojrzenie na nim. Zdawało się, że chce on przeniknąć myśli ajenta i pojąć znaczenie jego słów. Wzrok jego był pytający, przenikliwy, ale przebijał w nim lęk i niepokój.

Bernardet z dobrodusznym, naiwnym wyrazem twarzy wytrzymał to spojrzenie, tak jakgdyby go nie rozumiał wcale. Nie chciał, aby nieznajomy dostrzegł jego zainteresowanie się nim i tym sposobem zniweczył jego plany.

Przybrał więc wygląd poczciwego człowieka, który przejmuje się bardzo denerwującym widokiem i postanowił milczeniem dalszem doprowadzić tamtego do przemówienia. Był bowiem pewny, że zacznie sam rozmowę i to na temat zręcznie przez niego poddany.

— Nie trzeba teraz, abym przyspieszał sprawę — medytował Bernardet — Otrzymałem już pierwsze wrażenie i rzuciłem niepokój w jego umysł. On sam teraz zwróci się do mnie i będzie się starał porozumieć ze mną.

Bernardet był dobrym psychologiem i nie pomylił się w swoich przypuszczeniach. Po dosyć długiem milczeniu nieznajomy zwrócił się nagle twarzą do niego i zapytał suchym, urywanym głosem:

— Dlaczego mówi mi pan o panu Rovere?

— Ja? — odparł dobrodusznie Bernardet — Dlatego choćby, że wszyscy teraz o tem mówią. Mieszkam w tej dzielnicy i ta straszna katastrofa stała się niedaleko mnie... tutaj.

— Wiem! — odrzekł nieznajomy.

— Więc i mnie to wstrząsnęło, pan rozumie — ciągnął dalej Bernardet — zawsze to nieprzyjemna historya, nieprawdaż?

— Zapewne.

— Pan musiał też o tem słyszeć?

— Słyszałem.

Nieznajomy zwrócił się w stronę sceny, ale Bernardet widział dobrze, że nie interesuje się już widowiskiem. Spojrzenie nieruchome i błyszczące utkwił w jeden punt i nie zdawał się zwracać uwagi na to, co się wokoło niego działo.

— Trzymam cię już, mój ptaszku! — pomyślał ajent z zadowoleniem — Już cię tak prędko nie wypuszczę z ręki. Zdradziłeś się teraz dwukrotnie.

Nieznajomy rzeczywiście na słowa niedbale rzucone przez niego zapytał:

— „Dlaczego mówi mi pan o panu Rovere".

Widocznie więc znał zmarłego i wiedział, kim był, skoro się wyraził „pan Rovere". Słowo zaś „wiem" było rzucone gwałtownie i z gniewem, tak, jakgdyby chciał tem powiedzeniem odrzucić daleko od siebie myśl jakąś natarczywą i niepokojącą.

— Gdybym był zapytał któregokolwiek z tych ludzi przejętych widokiem — kombinował Bernardet — byłby mi odpowiedział po prostu „ten Rovere" albo, „sprawa Rovere", ale to „pan" dodane do nieznajomego nazwiska daje mi wiele do myślenia. Pan Rovere?!

No, naturalnie, mówi się tylko w ten sposób o osobie dobrze znanej. W tem słowie rzuconem lekkomyślnie mieściła się cała tajemnica.

Nieznajomy nie zdradzał już ochoty zawiązania dalszej rozmowy. To było widoczne. Odsunął się nawet lekko od ajenta, lękając się, że ten znowu przemówić może do niego.

Tymczasem widowisko było już na ukończeniu.

Trup leżący w trumnie przeszedł już w stan szkieletu o świecących fosforycznie kościach, a żałobny impresaryo oznajmił widzom, że wkrótce pojawi się znowu pomiędzy żyjącymi na sali.

— Będzie nawet lepiej wyglądał niż poprzednio — dodał uśmiechając się ironicznie — Taka świetna próba śmierci doskonale działa na organizm i podnosi pragnienie życia i jego rozkoszy.

Zart ten zebrana publiczność przyjęła wybuchem śmiechu. Naciągnięte nerwy tych ludzi instynktownie szukały jakiejś reakcyi. Każdy chciał najprędzej zrzucić z siebie to ciążące wrażenie wywołane ponurem widowiskiem i powrócić do normalnego życia.

Tylko nieznajomy, jeden pośród wszystkich, nie uśmiechał się wcale. Bledszy był jeszcze niż przed chwilą i częste drżenie przebiegało jego twarz i ciało.

— Nie trzeba przyzwyczajać się do widoku zmartwychwstania swojego bliźniego — ironizował dalej reżyser — Nie każdy bowiem byłby zadowolony z takiej nagłej niespodzianki, nieprawdaż? Umarli nie mają już miejsca pośród żyjących.

Skurcz gwałtowny, natychmiast zauważony przez Bernardeta, przebiegł twarz nieznajomego na te słowa. Obłędnem spojrzeniem objął salę, jakgdyby szukał wyjścia do ucieczki.

— Coś niedobrego dzieje się z moim zuchem. — zauważył Bernardet — Gotów wszystko postawić na ostatnią kartę i umknąć mi z przed nosa. Muszę go dobrze pilnować.

Ajent teraz rozmyślał głęboko nad tem, jakim sposobem odkryć jego nazwisko i dowiedzieć się, kim jest właściwie. Ale to nie było tak łatwe do przeprowadzenia.

Nagle myśl jakaś rozświetliła jego twarz zamyśloną.

— Spróbuję! — wyszeptał — Może mi się uda. W każdym razie nic nie ryzykuję, a dowiedzieć się mogę tego, co mi potrzeba.

Pozostawiając więc nieznajomego na sali, wysunął się z podziemia, zanim jeszcze trup z trumny zainscenizował pojawienie się swoje pomiędzy publicznością i roztrącając w niebardzo grzeczny sposób gości, torował sobie drogę do wyjścia.

Po kilku minutach znajdował się już na bulwarze. Odetchnął z ulgą i przystanął rozglądając się i badając wokoło otoczenie. Mgła gęsta zaległa ulicę i szarym cieniem pokrywała domy, przechodniów i przejeżdżające dorożki. W mgle tej dziwnie blado i anemicznie jaśniały latarnie gazowe.

Bernardet bystrem spojrzeniem starał się przeniknąć otaczający go półmrok. Szukał policyanta, wiedział, że niedaleko wyjścia „Kawiarni Szkieletów" jeden lub nawet dwóch stać musi na posterunku.

Po dłuższej chwili dojrzał ich nareszcie.

Szli wolnym krokiem, rozmawiając, pod rzędem ogołoconych z liści drzew, rosnących wzdłuż skweru.

Nie spuszczając wzroku z „Kawiarni Szkieletów" prędko podszedł do nich.

— Dagonin! — rzekł do jednego z nich — Pójdziesz natychmiast za mną, mój przyjacielu i śledzić mnie będziesz, rozumiesz. Za chwilę pokłócę się na ulicy z jednym ptaszkiem i udawać będę pijanego. W danej chwili pojawisz się i zaaresztujesz nas obydwóch. Zrozumiałeś?

— Doskonale!

— A ja? — zapytał drugi policyant.

— Ty pilnuj ulicy i przyjdź z pomocą wtedy tylko, kiedy poznasz, że sam sobie z tamtym poradzić nie może.

— Dobrze Bernardet, możesz być spokojny!

— No, do roboty, Dagonin! — szepnął Bernardet — oglądając się ciągle na główne wyjście „Kawiarni Szkieletów".

Publiczność wychodząca z widowiska tłumnie już zalegała chodniki, rozchodząc się w różne strony.

Bernardet, rzuciwszy swój rozkaz policyantom tonem stanowczym i pewnym, wykręcił się szybko, przebiegł ulicę i w kilku sekundach znajdował się już pod kawiarnią, śledząc bacznie twarz każdego przechodnia.

Głowę opuścił na piersi, tak, że z pod nasuniętego głęboko na oczy kapelusza, widniał tylko jego nos gruby i czerwony.

Czekał już parę minut przy drzwiach, oglądając bacznie każdego przechodzącego, a nieznajomego nie widział jeszcze. Cóż się z nim stać mogło? Bernardet zaczął się nie na żarty niepokoić. A może nieznajomy zatrzymał się tylko wychodząc z podziemia do górnej sali? Otworzył więc drzwi i spojrzał do środka. Młody człowiek o szarym kapeluszu siedział przy jednym ze stolików w kształcie trumny i popijał absynt, stojący przed nim w dużej szklance.

— Oho! — pomyślał Bernardet — Coś niedobrze z nim być musi, bo czuje potrzebę pokrzepienia się i nabrania sił. Niema co, zaczekam, aż skończy i wyjdzie.

Zamknął ostrożnie drzwi, aby nie wzbudzić jego uwagi i stanął na dawnem miejscu.

Nie czekał zbyt długo. Przesunęło się jeszcze kilku zapóźnionych gości i nareszcie drzwi kawiarni otworzyły się znowu, dając przejście nieznajomemu. Wyszedł przed kawiarnię i nasunąwszy głęboko na oczy szary kapelusz o szerokich skrzydłach, zaczął się rozglądać wokoło, w ten sam sposób, jak to przed chwilą czynił Bernardet.

(Dalszy ciąg nastąpi)

W stolicy Polski.

Doniosłe chwile przeżywa stolica Polski — Warszawa, która stała się obecnie ośrodkiem pracy nad realizacyą manifestu z dnia 5. listopada. W tych decydujących, brzemiennych w doniosłe następstwa chwilach toczą się gorączkowe narady, którym przyświeca jeden, jedyny cel: wolność i niepodległość Polski! Dla wzięcia udziału w naradach, poprzedzających utworzenie Rady Stanu, przybył do Warszawy, jak już donosiliśmy, brygadyer Piłsudski. Z jego pobytu w Warszawie zamieszczamy w dzisiejszym numerze zdjęcie, przedstawiające poufną pogawędkę brygadyera przy śniadaniu w hotelu Brühlowskim. Prócz tego zamieszczamy kilka nowych zdjęć z uroczystości powitania Legionów w stolicy Polski.

Jaskółki pokoju.

Jakkolwiek odpowiedź koalicyi na pokojową notę państw centralnych nie okazała się zbyt pojednawczą, sprawa pokoju nie stała się przez to mniej aktualną. Trudno zresztą było się łudzić, aby gałązka pokoju tak łatwo zakwitła po tej najkrwawszej w dziejach wojnie. Zbyt rozbujałe są jeszcze namiętności, aby mógł przemówić od razu zdrowy rozum. Ale już sam fakt, że pierwsze jaskółki pokojowe obiegły oficyalnie cały świat, a zwłaszcza, że rządy państw neutralnych z prezydentem Stanów Zjednoczonych Wilsonem na czele zdecydowały się wystąpić z pośrednictwem pokojowem — należy uważać za dobrą wróżbę... Bo nie ulega wątpliwości, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie rozpoczynałby dzieła, któreby nie miało żadnych szans powodzenia. Trzeba więc mieć nadzieję, że nota pokojowa Wilsona jest naprawdę tak upragnioną przez całą ludzkość jaskółką pokoju.



W stolicy Polski: Powitanie Legionów na Placu Saskim w Warszawie. Przemówienie jenerała Beselera. (Fot. Dulęba, Warszawa).



W stolicy Polski: Defilada kawaleryi Legionów na Krakowskiem Przedmieściu przed jenerałem Beselerem. (Fot. Dulęba, Warszawa).

Królewskie odwiedziny.

Książęta Rzeszy niemieckiej, których wojska walczą na rozmaitych frontach, odwiedzają często w polu stojące swe armie, by je w ten sposób zachęcić do dalszego wytrwania. W tym celu bawił w Galicyi w czasie, w którym ogłoszono słynny manifest cesarza Austryi i Niemiec, proklamujący niepodległość Polski, król bawarski, Ludwik III.

Przy tej sposobności zatrzymał się dostojny gość we Lwowie, gdzie przyjmowany był uroczyście przez jeneralnego konsula państwa niemieckiego, Heinzego. Królowi towarzyszyła liczna świta, z którą razem dla upamiętnienia odwiedzin, fotografował się przed budynkiem jeneralnego konsulatu.

Zgon zasłużonego filantropa.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia rozstał się z tym światem jeden z najzasłużeńszych ludzi w naszem mieście i kraju ś. p. Adam Chmielowski, znany powszechnie pod imieniem Brata Alberta.

S. p. Adam Chmielowski urodził się w Warszawie w roku 1848. W roku 1863 wziął czynny udział w powstaniu i wskutek rany, otrzymanej w bitwie, stracił nogę. Po wyleczeniu się z rany, udał się do Monachium, gdzie kształcił się w malarstwie i niebawem zajął w sztuce wybitne stanowisko.

Po odbyciu studyów w Monachium, powrócił do rodzinnej Warszawy, gdzie liczne jego obrazy kompozycyjne zwróciły uwagę krytyki, jako dzieła niepospolitego talentu.

Związany ścisłą przyjaźnią z ś. p. Józefem Chełmońskim i St. Witkiewiczem, należał do grona tych, co nadawali ton sztuce współczesnej. W roku 1888 porzucił pędzel i idąc za głosem powołania, założył Zgromadzanie Braci, posługujących ubogim. Przybrawszy imię brata Alberta, stanął na czele gromadki, przez siebie zwerbowanej i rozwinął dzieło miłosierdzia, znane w kronice Krakowa pod nazwą „Zakładu Brata Alberta". Tam przygarniał on bezdomnych nędzarzy, alkoholików i wszelkiego rodzaju wykolejeńców i dając opiekę i dach nad głową w zamian za lekką pracę, kształtował zdeprawowane dusze i przywracał społeczeństwu pożytecznych pracowników. Dzięki pomocy miasta, uzyskał ś. p. Brat Albert budynek, w którym otworzył niebawem szkółkę dla dzieci ulicznych. Przykład Brata Alberta i jego pełna poświęcenia działalność stała się zachętą do naśladowania. Podobne do krakowskiego Zakłady Brata Alberta powstały we Lwowie, Tarnowie, Przemyślu i Zakopanem.

Odszedł od nas Brat Albert w chwili, gdy dzieło jego, najpożyteczniej się rozwijające, wydawać poczęło bujny plon. Imię jego, przywiązane do tych ewangelicznych schronisk, będzie najtrwalszym i najgodniejszym pomnikiem dla pamięci szlachetnego człowieka, który życie swe poświęcił wzniosłej idei ratowania człowieka.



Ze świąt: Gwiazdka w szpitalu fortecznym Nr. 8 (gmach Starego Teatru) w Krakowie.

Kronika tygodniowa.

Swięta, święta i już po świętach!... Ani się spostrzegliśmy, a tu rok tysiąc dziewięćsetny siedmnasty już w całej swej okazałości wtoczył się na arenę światową. I dziś dopiero można się poza siebie oglądnąć i opowiedzieć wszem wobec i każdemu z osobna, bez względu na to, czy go to interesuje, czy nie, jak spędziliśmy dni świąteczne.

— Pod psem! — powie ten i ów, a ja to po twierdzę.

Bo, proszę sobie wyobrazić, przed samemi Swiętami, kiedy wody najbardziej potrzeba do najroz maitszych celów gospodarskich, magistrackie rury zastrejkowały i przestały sikać, nowy zaś wodociąg, który miał zasilić stary, jeszcze nie jest gotowy... Lament więc między gospodyniami, łapanie wody, ile się da i gromadzenie jej, potrzeba, czy nie!... Ile wody w ten sposób zmarnowano, mogą powiedzieć tylko kanały, do których ją potem, jako bez użyteczną, wylano. Poziom zwierciadła Wisły pod niósł się wobec tego o cały jeden centimetr, co podobno odbić się ma bardzo dodatnio na wodociągu bielańskim, komunikującym się w cichości z królową rzek polskich.

Wody więc w wodociągu brakło, nadmiar jej natomiast pojawił się w nafcie, z czego mieszkańcy miasta Krakowa niebardzo byli zadowoleni i żądali nawet interwencyi władz, które też wystąpiły z całą energią przeciw niesumiennym spekulantom. Ci jednak tłumaczyli się, że zrobili to tylko w interesie od biorców, nafta bowiem z wodą jest dopiero prawdziwą naftą bezpieczeństwa, nie tylko wcale się nie pali, więc szkody nikomu nie wyrządzi, można jej nadto, zamiast zwykłej wody, używać do gaszenia wybuchłego ognia. Ale ten się jeszcze nie urodził, ktoby wszystkim dogodził!... Handlarze dolewali wody tylko ze względu na dobro i bezpieczeństwo Krakowian, a ci ich jeszcze oskarżyli i żądali ukarania... I rób tu komu dobrze!... Za twoje myto jeszcze cię obito!...

W nafcie więc była woda, to fakt pewny, brakło jej natomiast w wodociągu, co znowu pogrążyło, jak się już wyżej rzekło, w najczarniejszą z czarnych rozpaczy piękniejszą połowę rodzaju ludzkiego, z pośród której rekrutują się nasze panie gospodynie, a między niemi, *sit vaenia verbo,* i moja Weronika, choć wcale piękną ani nie jest, ani nią nigdy nie była!

Z powodu owej wody miałem i ja, choć mało jej używam, dość kłopotów. Wracam do domu wieczorem, w kuchni znajduję dwie balie, dwie konewki i trzy cebrzyki pełne wody. nie licząc naturalnie najrozmaitszego kalibru garnków, również wodą napełnionych. Zaciekawiony, co to ma znaczyć, pytam o powód i dowiaduję się, że mokre zapasy przygotowano w tym celu, by rybki, które nazajutrz miało się zakupić na wigilię, mogły wesoło we wodzie spędzić ostatnie godziny swego opłakanego żywota.

Pochwaliłem zapobiegliwość mej małżonki i położyłem się spać, nazajutrz bowiem miałem skoro świt iść do Parku Krakowskiego po magistrackie karpie, które miały nadejść ze Zatora. Już po godzinie szóstej rano zaraportowała Kasia, nasza guwernantka „do wszystkiego“, że na placu Szczepańskim zaczyna się tworzyć ogonek obok kadzi z rybami, ściągnięto mnie więc bez litości z łóżka (a śniłem właśnie, że Redakcya przyznała mi i wypłaciła piękną remuneracyę!...) i kazano co prędzej pędzić na stanowisko.

— Ja pójdę wprost do Parku! — tłumaczyłem. — Tam prędzej dostanę...

— Idź sobie, gdzie chcesz, ale mi bez ryb się nie pokazuj! — rzekła moja lepsza połowa.

Więc poszedłem, a raczej pojechałem tramwajem, nie bardzo mi się bowiem spieszyło. W Parku także ogon!... Widocznie ludziska tak się do nich przyzwyczaili, iż bez ogonów już się obejść nie mogą... Ba, ale stało się coś gorszego!... Ogon jest. a ryb niema, a tu Weronika nakazała wyraźnie, że bez ryb pokazywać mi się w domu nie wolno.

Gonię więc na plac Szczepański, ale i tu ryb brak, wobec czego wracam znów do Parku i dostaję się na sam koniec ogona. Ale ryb jeszcze niema. Władza sprzedająca, a raczej mająca sprzedawać ryby, zła, publiczność naturalnie także, lada chwila można się spodziewać burzy z grzmotami. Wobec tego zmieniam ugrupowanie i dążę znów do Szczepańskiego odcinka, ale tylko po to, by wrócić stamtąd z próżnemi rękami.

I znowu znajduję się w Parku Krakowskim, ale w chwili tym razem bardzo szczęśliwej, zajechało bowiem kilka fur, a na każdej z nich widzę beczki, w beczkach zaś wodę. więc zapewne i ryby będą...

— Są!... — wyrwał się okrzyk z piersi zgromadzonych, a „ogonek“ zaczął falować w tę i ową stronę. Deptano sobie po odciskach, gnieciono żebra, czekano jednak mniej lub więcej cierpliwie na swą kolej!

Doczekałem się i ja. Niespełna po dwu godzinach od czasu ostatniego tutaj powrotu znalazłem się przed obliczem sprzedającego pana i usłyszałem zapytanie:

— Ile?

— Kilo! — odparłem ze smutną miną, gdyż tylko na tyle starczyły me wojenne kredyty.

Zanurzył siatkę w kadzi i wyciągnął stamtąd dwanaście rybek, niewiele większych od dorosłych sardynek, w każdym zaś razie mniejszych od średniej wielkości śledzi.

— Jest kilo! — rzekł pan z magistratu.

Wybałuszyłem nań oczy patrząc od czasu do czasu i na ów narybek. Głowa, ogon i nic więcej!

— Panie łaskawy! — odezwałem się pokornie — Co ja, względnie Weronika, zrobię z tym drobiazgiem?

— A niech pan sobie robi, co się panu podoba!... Mnie to nic nie obchodzi! — odparł uprzejmie.

— Tak! Dobrze to panu mówić, ale mnie kazała żona kupić karpia, a pan mi daje jakieś płotki, czy sardynki.

— To są karpie!

— Ale małe...

— Urosną!.. Zresztą, jeśli się panu nie podoba, niech pan nie kupuje, znajdą się inni amatorzy. Proszę się usunąć, widzi pan, ile osób czeka, a pan mi niepotrzebnie głowę zawraca... Takie małe rybki to nawet wygodniej kupić, niż całą kilową sztukę. Każdą można inaczej przyprawić: jedną na szaro, drugą smażoną, trzecią w galarecie, czwartą w occie i tak dalej... Bierze pan?

— Nie!

— To idź pan z Bogiem!...

Usłuchałem i poszedłem, naturalnie na Szczepański plac, tutaj jednak ryb nie dostałem, dowiedziałem się tylko, że ktoś tam przywiózł ze wsi kilka szczupaków, za które ludziska płacili na wagę złota. Ponieważ jednakowoż przekroczył taryfę maksymalną, skonfiskowano ryby i odstawiono wraz z winowajcą do magistratu.

Podążyłem i ja w te ślady, niestety, nawet na ślad szczupaków nie trafiłem, wobec czego kupiłem u Wentzla dwa śledzie marynowane, by nie wracać z próżnemi rękami i powoli, z miną bardzo rzadką, skierowałem swe kroki ku domowemu ognisku, przy którem kręciła się Weronisia z zakasanymi rękawami.

— Gdzie ryby? — zapytała zaraz.

— We Wiśle! — odpowiedziałem, nadrabiając miną.

— Nie rozumiem!...

— W takim razie zrozumiesz chyba gdy ci po wiem, że nie kupiłem nic, bo ryb niema.

— Tak to posłać niedołęgę! — westchnęła, patrząc na mnie z politowaniem — Niepotrzebnie tyiko czas zmitręży i nic nie załatwi. Gdybym była poszła sama, ryby znalazłyby się z pewnością...

— Trzeba było iść! . Kto ci bronił?

— A od czegóż mam męża?..

— Chyba nie od posyłek!.. Drugi raz nie będę taki głupi i nie dam się użyć za posłańca. Ja, pan domu!... Nie dość, że zmarzłem, jeszcze mnie czeka besztanie... Kupiłem zato dwa śledzie!

Podałem jej, wyrwała mi z ręki i rzuciła w moją stronę, trafiając mnie w sam wizerunek... We wigilię nie chciałem robić awantury, bo to zły prognostyk na rok cały, otarłem więc nos i spokojnie poszedłem do siebie.

— I tyle wody się zmarnowało! — słyszałem jeszcze głos mej rozsierdzonej małżonki za sobą, — Kasiu! Wylej do zlewu, a naczerp świeżej, bo może jutro będzie potrzebna.

A teraz proszę mi powiedzieć, kto ponosi w tym wypadku winę. Ja, chyba nie, jeno magistrat, który obiecał, że będą rybki ze Zatora, a przyrzeczenia nie dotrzymał. Ale magistrat zasłania się znów tem, że Zator zawiódł, Zator zaś tłumaczy się, iż magistrat spóźnił się ze zamówieniem, jak zwykle. Słowem, na tem tle możnaby napisać romans kryminalny pod tytułem „Gdzie winowajca?“, w którym naturalnie ja byłbym bohaterem, na niewinnym się bowiem skrupiło.

Badałem po Swiętach dokładniej całą sprawę i doszedłem do wniosku, że wina jest po obu stronach. Zawinił i magistrat i Zator, pierwszy, gdyż się z zamówieniem spóźnił, drugi, iż obawiał się przyrzec miastu ryby, nie otrzymawszy poprzednio gotówki. To smutne, gdyż widzimy z tego, że nawet Kraków nie ma kredytu, a cóż dopiero mówić o takich chudopachołkach, jak, nie przymierzając, kronikarz...

Odeszło się więc bez rybek, zjadło się z apetytem owe tak zbezcześczone śledzie, z Weronisią daliśmy sobie buzi i pogodzili się, jak na przykładnych małżonków przystało. Drzewka naturalnie nie było także, za małą choinkę bowiem, choć ogłoszono ceny maksymalne, żądano tyle, co ongiś za kilkunastometrową jodłę lub sosnę. Dla kogo zresztą robić drzewko, skoro i człek stary i jego pociechy też się starzeją. Chyba samemu powiesić się na niem z rozpaczy... To byłaby najpiękniejsza jego ozdoba!

Jak z tego Czytelnik zapewne już poznał, początek Swiąt, to jest wigilię, spędziłem nie tak, jak się należy i jak to było po inne lata, ale pocieszam się, że sytuacya się w roku następnym poprawi, karpie w Parku Krakowskim tymczasem podrosną, a śledzie potanieją. Ale do tego potrzebny jest pokój, na który znów nie chcą się zgodzić Anglicy i Francuzi. Zabronili oni we Swięta śpiewać: „Chwała Bogu na wysokości, a pokój na ziemi ludziom dobrej woli“... Na pierwszą część się zgodzą, na drugą zaś zgodzą się dopiero wówczas, gdy uwzględni się tylko ich warunki pokojowe.

Po nocie prezydenta Wilsona mocarstwa centralne wypowiedziały zaraz swe zdanie, że zgadzają się na propozycyę, państwa koalicyi natomiast czekają, które pierwsze ma się odezwać i w jakim tonie. Przypomina mi to małe miasteczko, w którem w kasynie ma się odbyć bal. Początek naznaczono na godzinę dziewiątą, jest już dziesiąta, a żadnej pani niema. Niczem laufry gonią zato sługi i dowiadują się, kto już przyszedł, nie wypada bowiem, by na sali jawiła się pierwsza n. p. pani radczyni, skoro niema jeszcze ani pani rejentowej, ani doktorowej, ani aptekarzowej. ba, nawet i pani oficyałowej, by mogły podziwiać z jaką ona wchodzi *grandezzą.* . Wreszcie komitet bierze się na sposób. Gdy jakaś Kasia, czy Marysia trwożliwie wsunęła nos we drzwi, któryś z młodych panów daje jej koronę, by powiedziała swej pani, że już jest pani sędzina i pani mecenasowa. To samo powtarzają z drugą i trzecią i za kwadrans sala już pełna...

I koalicya tak postępuje. Niech jeno Anglia puści parę, odezwie się i Francya i Rosya, może i Włochy, o mniejszym narybku nie mówiąc, bo tych nikt słuchać nie będzie.

Ale niech się ktoś odezwie! Może się znajdzie jaki komitetowy i da ową koronę... bo, dalipan, jeżeli w tym roku pokoju się nie zawrze i po raz czwarty mielibyśmy świętować przy akompaniamencie grubej Berty, to w samej rzeczy lepiej się... powiesić!

Wojna winna, że i dwa dni Swiąt poszły na marne... Gdzie zapukałeś, dowiedziałeś się, że „naństwo wyjechali do Zakopanego“... Trzeba było odejść z kwitkiem i niezaspokojonym apetytem i pragnieniem .. Trudno jednak! Czasy ciężkie, choćbyś nawet miał pieniądze, nic kupić nie można, bo sprzedać ci nie chcą, a to winie, z powodu owego wyżej wspomnianego braku wody i mówić nie potrzeba... Choć kto wie, czy właśnie dlatego jej nie brakło, iż handlarze win zbyt wielkie zapasy robili na Swięta, łudząc się, że z powodu noty Wilsona naród będzie pił z radości. Jeśli do tego doda się ubytek wody, której użyto jako domieszki do nafty (o czem także było wyżej!...), zrozumie każdy, że wodociąg mógł się znaleźć w położeniu bez wyjścia. A że to odczuł i że się martwił, dowodem tego, iż przed wigilią pękł tuż przed samym Zakładem wodociągowym na Półwsiu, gdzie urzędują najwyższe jego władze.

Przynajmniej na pogodę nie mogliśmy narzekać, ale cóż nam z niej, jeśli niema gdzie pójść i trzeba w domu siedzieć, łapę lizać i ślinkę łykać. Pocieszał się przecież człowiek nadzieją, że w dniu Nowego Roku odbije to sobie z nawiązką, chyba bowiem nie znajdzie się nikt, ktoby jak się należy nie podziękował za złożone mu gratulacye.

Ale o tem dowiedzą się P. T. Czytelnicy dopiero z następnej kroniki. Tak się złożyło, iż niniejszą przelewam z kałamarza na papier przed Nowym Rokiem, gdybym bowiem później zabrał się do tej pracy, zdaniem pana metrampaża, numer uległby stanowczo spóźnieniu. Nie wypada zaś, by spaźniał się pierwszy numer w roku, i to w czasie, gdy wszystko inne odbywa się w ruchu przyspieszonym.

Poniosę więc życzenia tu i tam, a Wy je przyjmijcie, bym nie potrzebował potem narzekać, iż wygasła już w naszem społeczeństwie piękna i naśladowania godna cnota staropolskiej gościnności... To byłoby poprostu okropne!

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S Drewienko, Prądnik

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Łotr mewa topi sumy z rzek Kanady Prosiaki, buk, pled

Trójkąt magiczny.
Ułożył W. B, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko niemieckiego księstwa

```
□ □ □ □ □ □
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2 Imię żeńskie angielskie 3 Jedna ze stolic europejskich. 4. Głos 5 Imię chińskie 6 Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ducby, byt, owo, w lewo.

Okienko.
Ułożył Iii Ey, Kraków

Podane litery w ten sposób uporządkować aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a b b c c c
e     e     e
e     e     e
i i i   k k ó
ó     r     r
r     r     w
w y y z z z z
```

Znaczenie wyrazów: 1 Rzemieślnik. 2. Część dnia 3 Naczynia kuchenne.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Żółw nie biegnie po ziębę zera.

Kwadrat magiczny.
Ułożył H M, Kraków

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko polskiego uczonego

```
□ — — — — — — —
— □ — — — — — —
— — □ — — — — —
— — — □ — — — —
— — — — □ — — —
— — — — — □ — —
— — — — — — □ —
— — — — — — — □
```

Znaczenie wyrazów: 1 Miasto górnicze na Węgrzech. 2 Filozof grecki. 3 Archipelag australski 4 Dopływ Wisły 5 Zamek i klasztor pod Madrytem 6 Mędrzec grecki 7 Prowincya francuska 8 Miasto w Syryi

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S Drewienko, Prądnik

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Szmata, Emma, żyła.

Grzebieniówka.
Ułożył E. Winter, Tarnów

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwiska dwu greckich rzeźbiarzy, połączone ze sobą spójnikiem.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów: 1 Rodzaj gliny 2. Postać z dziejów rewolucyi francuskiej 3 Osłona lampy 4 Epopea grecka 5. Straż wojskowa 6 Inaczej pochop. 7 Miasto w Indyach 8 Bogini sprawiedliwości.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

El Zima goni budy. Amen

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O, gipsy, niesione Wisłą biedy!

Bilety wizytowe.
Ułożył Iii Ey., Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ERAZM O DYPOSKI

KUBA RODT.
RYNEK.

CZESŁAW JULKO OPYGO.

ROMAN IZIK

TYNIO DOMSKI

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 52.

Łamigłówka: Koniec wojny.

Równanie:
Protazy + **klasa** + **malaga** + reznrekcya + Adam = **Proklamacya**
Królikowski + **Lesbos** + towarzystwa = **Królestwa**
Leopolski + Morskie Oko + g ryl = **Polskiego.**

Okienko:

```
K o n a k
o   a   o
n a t a n
a   a   a
k o n a r
```

Rozsypane litery: Jaka praca, taka płaca

Szarada: Baraki.

Logogryf

```
F a j e r w e r k i
E u k a l i p t u s
R y n s z t u n e k
D y s p o z y c y a
Y p s i l a u t i s
N a d b r z e z i e
A x e n t o w i c z
N o w o g r ó d e k
D e m o s t e n e s
K u r o p a t k i n
U r s z u l a n k i
R e z u r e k c y a
A u t o d y d a k t
Ś w i e r g o t k i
```

Grzebieniówka:

```
R e k o n s t r u k c y a
a   o   i   e   r   y   r
r   m   r   z   g   k   t
y   e   w   e   o   o   y
t   n   a   u   w   r   s
a   d   n   s   a   y   t
s   a   a   z   ć   a   a
```

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia. K. Ciesielski Poznań. S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha. J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie. M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J Kopczyńska Bieżanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń. H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, K G łąb Nowy Sącz S Roth Tarnów, W Stachowicz Lwów, A Gliński Przemyśl, E Winter Tarnów, R Królicki Krościenko, R Mellerówna Baranów J Sosenko poczta pol. 286

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Klapsholz, Praga.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Edmund Zechenter: **„Walkowe kochanie“.** Nowele. Nakład i druk K i E. Koziańskich. Skład główny: G Gebethner i Sp., Kraków 1917.

Ostatnia książka autora „Nastrojów“ i „Z chłopskiej niwy“, to szereg obrazków bujnej wsi polskiej, bardzo wymownych, świeżych i prawdziwych. Autor nie tylko wystudyował znakomicie typy ludowe, nie tylko podchwycił cechy ich zewnętrzne, składające się na wierność etnograficzną, ale pokochał snać prawdziwie swoich Walków, Jacków, swoje „dziewuchy“ i „gdowy“, podsłuchał bicie ich serc, wniknął w ich życie duchowe, zespolił się z ich cierpieniami i weselem. I dlatego daje nam nie ukostyumowane, mówiące dyalektem figury, zmanierowane i sztucznie junackie, ale ludzi, żyjących życiem swem odrębnem, które talent autora umie pochwycić na gorącym uczynku i skrystalizować w jakimś wymownym szkicu.

Najlepszy, najbardziej typowy to „Strzelec Bardęga“. Butna i zawadyacka postać kłusownika, śmiałymi konturami znaczona, odcina się z ogromną wyrazistością na tle z dużym artyzmem przeprowadzonego opowiadania, ogrzanego tchnieniem serdecznego afektu Jacek Bardęga ukochał bowiem nadewszystko las, pogwary i poszumy tajemnicze drzew, które dla jego uszu rozbrzmiewają potężną a uroczystą pieśnią. Całymi dniami wałęsa się po lesie i uprawia kłusownictwo z zamiłowania; polując, przeżywa całą skalę wzruszeń, w których krew mu gra z iście szlachecką fantazyą. Silna, pełna plastyki charakterystyka Bardęgi przechodzi przy końcu noweli w tragizm, kiedyto dotknięty ślepotą sławny strzelec, kierując się tylko słuchem, strzela do skrzeczącej na płocie sroki, trafia ją, a potem, ściskając w garści jednorurkę, nieodstępną towarzyszkę niezliczonych łowów, kona na przyzbie przed chatą.

W „Walkowem kochaniu“ opowiada autor o losach uwiedzionej dziewczyny. Gdy córka wróciła ze służby z miasta do chaty, spodziewając się „przychowku“, matka pomstuje i wypędza ją z domu, ale Walek, choć śmiertelnie ugodzony w serce krzywdą, jaką mu umiłowana dziewczyna wyrządziła, widząc swe kochanie, odchodzące z węzełkiem na plecach w świat szeroki, przygarnia Magdusię i postanawia .. „nie opuścić aż do śmierci“.

W „Śnieżycy“ to jakiś żywiołowy nokturn, w którym szały zawieruchy, mroki nocy i śmierć, wracającej wśród zadymki, osieroconej matki po pogrzebie ukochanego dziecka, zlewają się w ponury i grozy pełen akord. Szczerą poezyą i głębokiem odczuciem natury tchną „Legendy“ oraz melancholią owiane „Obrazy jesienne“, z których niektóre przełożono na język niemiecki, a „Legenda o grzechach“ znalazła się w najnowszem wydaniu „Wypisów“ dla klas gimnazyalnych, ułożonych przez prof Reitera.

Książkę p. Zechentera zaliczyć śmiało możemy do wybitniejszych utworów literackich. Przeczytać ją warto, aby poznać talent pisarza, którego tak trafnie scharakteryzował Kazimierz Tetmajer w przedmowie do „Chłopskiej niwy“, mówiąc, że „chce on w sztuce prawdy, a na prawdę patrzy przez poezyę, co jest właśnie drogą do ideału sztuki“. *S.*

Wojenno-polityczna mapa ziem polskich. Pod wrażeniem manifestu z 5. listopada 1916 narysował prof E Romer, głośny już dziś w całym świecie kartograf, mapkę ziem polskich, w której pragnął podać polityczne i wojenne podstawy tego manifestu, jak niemniej podstawy i drogi rozwoju sytuacyi politycznej, stworzonej na ziemiach polskich przez ten manifest. Rysuje więc na czarnem tle przedwojennych granic politycznych i podziału administracyjnego poszczególnemi barwami granice Polski z r. 1772, księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, jakoteż stan wojenny współczesny, podkreślając w szczególności obszar okupacyi niemieckiej, austryackiej i Galicyi t. j. terytoryów, objętych wspomnianym manifestem. Inny system znaków kolorowych określa polski obszar etnograficzny i dwie sfery polskich interesów, gdzie wprawdzie jesteśmy w mniejszości liczebnej, jednakże mamy przewagę pod względem przemysłu, handlu, posiadania ziemi i t. p. Ponadto kilka linii frontów bojowych, a więc z czasu największej ekspanzyi rosyjskiej, z czasu przełamania frontu rosyjskiego pod Gorlicami, największej ekspanzyi mocarstw centralnych i obecnego, illustruje w krótkości dzieje wszechświatowego zmagania się dwóch świtów politycznych i kulturalnych na ziemiach polskich. A wszystko to odznacza się tą ogromną przejrzystością, jaka cechuje wszystkie prace kartograficzne prof. Romera

Do mapki dodano szereg tabel statystycznych, odnoszących się do poszczególnych powiatów ziem polskich.

W ten sposób mapka ta stanie się nieodzownym środkiem pomocniczym dla każdego, kto zechce się zoryentować w sytuacyi, stworzonej przez manifest z 5 listopada, w szczególności zaś ważne usługi odda ludowi i młodzieży naszej.

Mapa ta, która już w najbliższych dniach pojawi się na półkach księgarskich, wyszła nakładem Książnicy polskiej Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego